NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**
Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. Kraków, 26 września 1914. Nr. 39.

Zbombardowany Kalisz.



Zburzone domy przy ulicy Wrocławskiej.

Zaprowiantowanie armii.

Zaopatrzenie milionowej armii, operującej w polu, przedstawiało zawsze ogromne trudności, z któremi trzeba więc krzepić w odpowiedni sposób, by go uczynić zdolnym do dalszej kampanii. W pierwszym rzędzie musi więc mieć pożywny i obfity wikt.

Główną rolę odgrywa tu naturalne mięso. Dawniej gotowuje potrawy, przeważnie rosół i mięso, po przybyciu na miejsce odpoczynku obiad jest już gotowy. Jedna kuchnia wystarcza zupełnie na potrzeby jednej kompanii.



W niewoli: Jeńcy rosyjscy zatrudnieni przy budowie kolei w Prusach Wschodnich.

przecież jako tako dawali sobie radę urzędnicy intendantury wojskowej.

W dawniejszych czasach każdy żołnierz musiał sam się starać o potrzebny prowiant, dziś myśli o tem komenda, która już w czasie pokoju przygotowuje zapasy, mogące wystarczyć na dłuższy czas. Za wojskiem, ciągnącem przeciw nieprzyjacielowi, posuwa się więc tren, który wiezie amunicyę i żywność dla ludzi i koni.

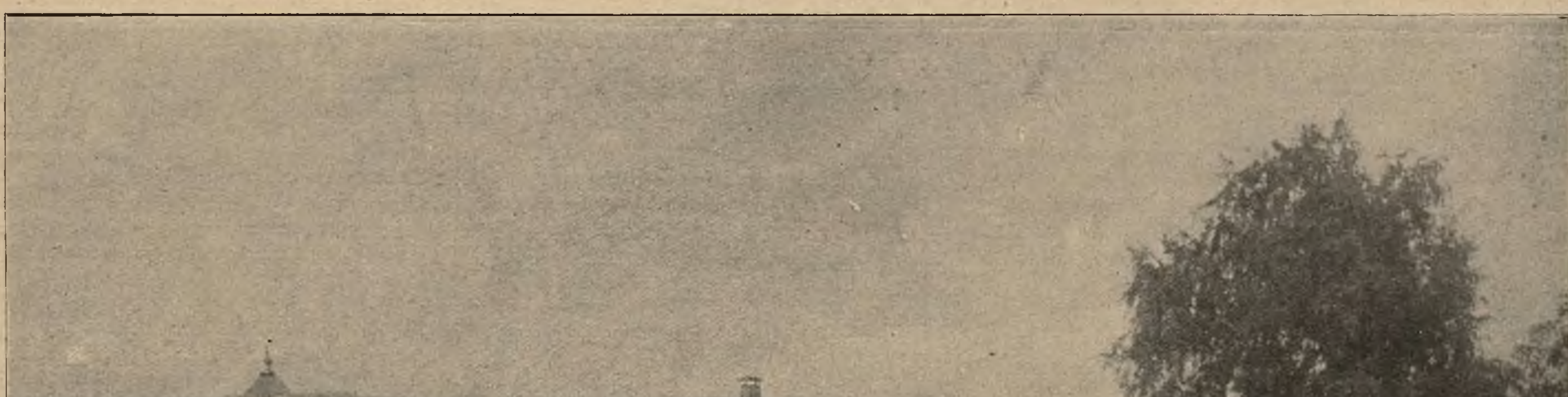
Trudy wojenne i forsowne marsze absorbują w ogromny sposób walczącego żołnierza, siły jego dostarczano go pod postacią konserw różnego rodzaju, dziś, o ile okoliczności pozwalają na to, zarząd armii zaopatruje poszczególne oddziały w żywe bydło, które bije się we własnym zarządzie i gotuje mięso w specyalnie skonstruowanych kuchniach polowych, znajdujących coraz to szersze zastosowanie.

Kuchnia taka, to wóz zaprzężony w dwa konie. Przednia część, przypominająca jaszczyk armatni, jest rodzajem podręcznej spiżarni, na drugiej znajdują się trzy kotły, pod nimi zaś ognisko.

Już w czasie marszu roznieca się ogień i przy-

Wobec tego używanie konserw stało się zbytecznem, znajdują one zastosowanie dopiero w ostatecznym wypadku, gdy okaże się niemożebnym dowóz surowego mięsa.

Drugim, bardziej nawet ważnym produktem, jest chleb, którego każdy żołnież otrzymuje obfitą porcyę. W dawniejszych czasach, a i dziś w chwilach krytycznych, używa się sucharów, w normalnych przecież warunkach otrzymują ludzie chleb świeży, wypiekany w specyalnych polowych piekarniach, które również okazały się bardzo praktycznemi.



Zaprowiantowanie armii: Austryacka piekarnia polowa.

W niniejszym numerze podajemy szereg ciekawych illustracyi, przedstawiających kuchnie i piekarnie polowe i ich zastosowanie.

Na teatrze wojny.

Rozgorzała już strasznym płomieniem wojna światowa doszła do stadyum śmiertelnego ścierania się walczących potęg. Dziesiątki tysięcy wojska zaległy



Na teatrze wojny: Jen. Rennenkampf, dowódca armii rosyjskiej, rozgromionej w Prusach Wschodnich.

pola bitew i tyleż a może i więcej zaludniło szpitale i lazarety, a jednak dopiero teraz mówi się o właściwej wojnie tj. decydujących bitwach, mających znaczenie polityczne. Zaczynając od zachodniego terenu podnieść należy milczenie prasy o ofenzywie niemieckiej w północnej Francyi. Czy operująca tam armia, posuwając się od Amiens doszła daleko i czy spełniła swe zadanie zamknięcia Paryża z tamtej strony — na razie nie wiadomo. Według jednak doniesień sztabu niemieckiego na całej linii wojny francusko-niemieckiej atak Niemców postępuje naprzód powoli, mając do zdobywania łańcuch ufortyfikowanych pozycyj. Wiadome są natomiast walne bitwy, jeszcze się wciąż toczące w centrum tj. pod Soissons Reims. Parci wgłąb kraju Francuzi osadzili się silnie tutaj, prowadząc ostrą defenzywę, która wstrzymała pochód dwóch armii niemieckich. W Wogezach toczą się też ze zmiennem szczęściem bitwy sprzymierzonych armii francuskiej i angielskiej z niemiecką, wygnani z Alzacyi Francuzi ponowili ofenzywę i utrzymali się w miejscowościach pogranicznych. Na tym terenie postępują sobie oni śmiało, mając za sobą silne fortece Belfort i Epinal.



Na teatrze wojny: Armia angielska w Ostendzie.

W Prusach Wschodnich odnosi armia gen. Hindenburga, maszerująca na Osowiec, stale zwycięstwa. Zajęła już ona Szczuczyn i Grajewo, a zwycięski ten pochód poczyna zagrażać już Warszawie.

Z walk w Galicyi wspomnieć należy o bohaterskiej obronie przez wojska austryackie Sieniawy, którą opróżniono jednak ze względów strategicznych,



Kolorowe wojska: Piechota z Indo-Chin w armii francuskiej



Wojna w powietrzu: Dom w Antwerpii, zburzony przez bombę, rzuconą z balonu Zeppelina.

by zebrane siły wojsk naszych mogły ustawić front walącym z trzech stron masom rosyjskim. Ostatnie wieści z pism zagranicznych donoszą o walkach na morzu, w których Anglia i Niemcy utraciły szereg okrętów.

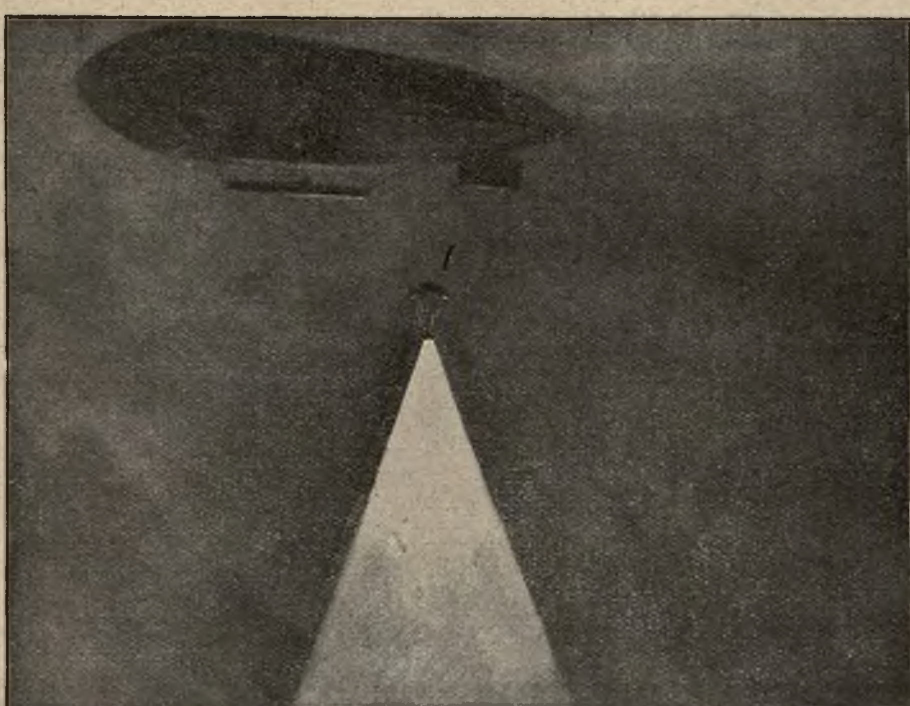
Walka o zapasy.

Kraków przeżywa obecnie ciężkie dni; zmienne losy wojny — przynoszą różne echa. Prastare nasze miasto, zawsze tak cicho żyjące — w obecnym czasie zawieruchy wojennej ulega tym wszystkim fluktuacyom, jakie w podobnej sytuacyi tworzą się na powierzchni życia, zaburzonego w swym normalnym toku. Historya po wojnie ustali fakty, które, dziś niesprawdzone, w odleglejszych od nich kręgach wywołują pogłoski i plotki, brzmiące nierzadko nieprawdopodobnie. Wolniej bieżąca za niemi prawda, w formie urzędowych wiadomości przeczy często z gruntu ich treści a jednak — ludzie wierzą im, bo czemu ludzie nie wierzą, zwłaszcza gdy strach siedzi im na karku. Są tacy, co widzą się już w niewoli, na marach, a właściwie leżą już na łożu Prokrusta, które sobie sami, dzięki swej bojaźliwości i łatwowierności urządzili. To też na wielu twarzach, mniej lub więcej wyrazu mających, maluje się bezgraniczny lęk, który plącze im odnóża, język i myśli, a pobudzona fantazya zakłóca dzień i noc najpotworniejszymi obrazami. Większe jest jednak panowanie plotki, ta święci teraz istny sabat, ludzie nawet inteligentni nabierają oryentacyj politycznych od woziwody wojskowego lub pucybuta oficera. Skutki podobnych stosunków są przykre i opłakane, bo właśnie kiedy jak kiedy, lecz w podobnych czasach należy zachować takt i spokój, ale trudno, trzebaby je teraz sztucznie zastrzykiwać, bo naturalnym sposobem nikt tego nie nabędzie.



Wojna w powietrzu: Reflektor do walki nocnej z aeroplanami.

Tak się też rzecz ma z zaprowiantowaniem miasta. Plotki straszące spowodowały, że ludzie zamiast czynić spokojnie zapasy, zaopatrując swe spiżarnie na ciężkie dni, które mogą nadejść, biją się wprost na targach i w sklepach, szarpiąc sobie do reszty nadwątlone nerwy. Trudno, panika silniejsza jest pono nawet od rozsądku...





Badanie ruchów nieprzyjaciela z balonu. **Wojna w powietrzu:** Oświetlanie pozycyi nieprzyjaciela w czasie walki.

Uzupełnienie armii.

Obecna wojna, trwająca już prawie dwa miesiące, pociągnąć musiała za sobą i straty w ludziach — tembardziej, że armia austryacka walczy na dwu frontach, południowym i północnym. Zwłaszcza na północy ma się do czynienia z przeciwnikiem, który rzucił na Galicyę Wschodnią ogromne siły, przygotowywane i gromadzone już wówczas, gdy Austryi o mobilizacyi ani się jeszcze nie śniło.



Uzupełnienie armii: Charakterystyczne grupy przed lokalem asenterunkowym w Krakowie.



Uzupełnienie armii: Lokal asenterunkowy w szkole przy ul. Dietlowskiej w Krakowie.

Armia nasza stawała dzielnie wobec przeważającego ilością wroga, gdy trzeba było, posuwała się naprzód. by sparaliżować jego ruchy, następnie cofała się w należytym porządku, gdy tego wymagała konieczność. W tym czasie żołnierze nasi dokazali prawdziwych cudów waleczności, ale też nadludzkie wysiłki przetrzebiły także poważnie ich szeregi, zwłaszcza, że prócz kul nieprzyjacielskich czyhały na nich i choroby zaraźliwe, głównie czerwonka.

By zapełnić luki, jakie w ten sposób powstały w szeregach armii i odświeżyć ją, by znowu mogła stawić w razie potrzeby zwycięsko czoło nieprzyjacielowi, ogłoszono dodatkowy pobór popisowych, urodzonych w latach 1892, 1893, 1894 i 1895.

Przed lokalem asenterunkowym, który mieścił się w Krakowie w szkole barakowej przy ulicy Dietlowskiej, gromadziły się od rana do późnego wieczora tysiące ludności. To popisowi i ich rodziny, wyczekujące na rezultat, by w danym wypadku pożegnać syna lub brata, jeśli komisya uzna go za zdolnego do noszenia broni, natychmiast bowiem po zaasenterowaniu zaprzysięgano nowozaciężnych i wysyłano partyami do miejsc, gdzie odbywa się kształcenie rekrutów.

Stamtąd, po tak zwanym wojskowym „abrychterunku", wcieleni zostaną do swych pułków, pochodzący więc z Krakowa i okolicy do 13 p. p. lub 16 obrony krajowej.

Mniej uzdolnieni do służby frontowej zasilą szeregi pospolitego ruszenia.

Illustracye nasze przedstawiają sceny z przed budynku, w którym urzęduje komisya poborowa. *Gros* zgromadzonej publiczności stanowią naturalnie żydzi, którzy bardziej, niż chrześcijanie, stroskani są o los swych latorośli.



Wojna w powietrzu: Odparcie nocnego ataku rosyjskich aeroplanów przez wojska austryackie.

Wojna w powietrzu.

Fantastyczne powieści o latających wojskach i fortecach i t. p. — nabrały w obecnej wojnie kształtów realnych. Nie doszliśmy jeszcze wprawdzie do tego by całe armie, a nawet oddziały przefruwały z miejsca na miejsce albo walczyły w przestworzach, lecz to co się już obecnie dzieje, zdaje się nie wykluczać czegoś podobnego w przyszłości. Aeroplan, dotychczas luksusowny przyrząd sportowy okazał się obecnie doskonałym środkiem pomocniczym w bitwach, a raczej ich przygotowaniu, a nadto strasznym, bo nieuchwytnym wrogiem miast i śpiących obozów, na które rzuca znienacka bomby siejąc popłoch i zniszczenie. Balony służą już dawno armiom, statki powietrzne używane przy bateryach oddają im wielkie przysługi, lecz rozmiary ich i zależność od wpływów atmosfery umniejsza ich sprawność. Nadto koszt budowy balonu i wyćwiczenie załogi nie pozwala na ryzykowanie ich do celów mniejszej wagi, pełnią więc przeważnie służbę przy fortecach. Lecz osławione Zeppeliny, których liczne próby tak niepomyślnie się kończyły, okazały się obecnie pierwszorzędnymi statkami powietrznymi. Używała ich armia niemiecka w Belgii i mimo rozmiaru, który znaczny cel przedstawia uciekały przed salwami oblężonych. Rola balonu w obecnej wojnie okazała się o wiele donioślejszą niż sądzono, flota powietrzna Niemiec napełnia strachem Anglię, która obawia się, by tą drogą nie napłynęła na nią armia niemiecka i powaliła ją na rodzimym lądzie. O atakach i sukcesach Zeppelinów dowiemy się prawdopodobnie z późniejszych relacyi, na razie jest to tylko wiadome, że niedoceniano ich dotychczas tak jak należy.

Znaną zresztą rolę i bardzo ważną pełnią przy armiach samoloty. Lekkie te przyrządy lokomocyi, swobodne w ruchach i niezwykle szybkie służą do celów wywiadowczych. Lekceważąc sobie wprost niebezpieczeństwo zestrzelenia zapuszczają się aeroplany nad armie, etapy i obozy nieprzyjacielskie badają ich liczbę i rozmieszczenie, uciekając pomyślnie przed kulami specyalnych armat i karabinów. Lotnicy czynią najdokładniejsze rekonesansy, zapisują a nawet fotografują pozycye wroga i z doskonałemi wiadomościami wracają do swoich, regulujących według tego akcyę. Trzeba przyznać, że obecnie wszystkie bez wyjątku armie od najlepszej tj. niemieckiej do rosyjskiej, którą tak lekceważono, zaopatrzone są we wszystkie te najnowsze środki i urządzenia. Jedno tylko uderzy nawet laika tj. brak wiadomości o francuskiej flocie powietrznej, jaką Francya tak się chlubiła.





Jeńcy szkoccy z posiłkowej armii angielskiej w Döberitz pod Berlinem. **W niewoli.** Obiad jeńców angielskich w niewoli niemieckiej.



Nowoczesne tarany: Zdobyty fort Loncin w Liege.

W niewoli.

Jak już wspominaliśmy w jednym z poprzednich numerów, liczba jeńców, którzy dostali się do niewoli nieprzyjacielskiej, jest w obecnej wojnie bardzo wielką. Same Niemcy karmią już przeszło ćwierć miliona żołnierzy nieprzyjacielskich, należących do armii: rosyjskiej, francuskiej, angielskiej i belgijskiej.

Wywieziono ich w głąb kraju i tutaj używa się ich do robót ziemnych i polowych. Oni nie narzekają wcale na to, gdyż na ogół obchodzą się z nimi zwycięzcy bardzo łagodnie, co zaś najważniejsze, karmią ich wcale znośnie, nie uczuwają więc nie-



Nowoczesne tarany: Willa w Saarburgu, zburzona przez artyleryę francuską.

przyjemności, na jakie narażeni byli ongiś wszyscy ci, którzy w czasie wojny dostali się w ręce nieprzyjaciela

Damy niemieckie otaczały francuskich żołnierzy do tego stopnia troskliwemi staraniami, iż zaczęło to już gniewać statecznych ich małżonków, a jeden z komendantów musiał wydać rozporządzenie, zakazujące im pojawiania się na dworcu w chwili przejazdu pociągów z jeńcami, grożąc w przeciwnym razie opublikowaniem ich nazwisk w gazetach.

I to dopiero pomogło.

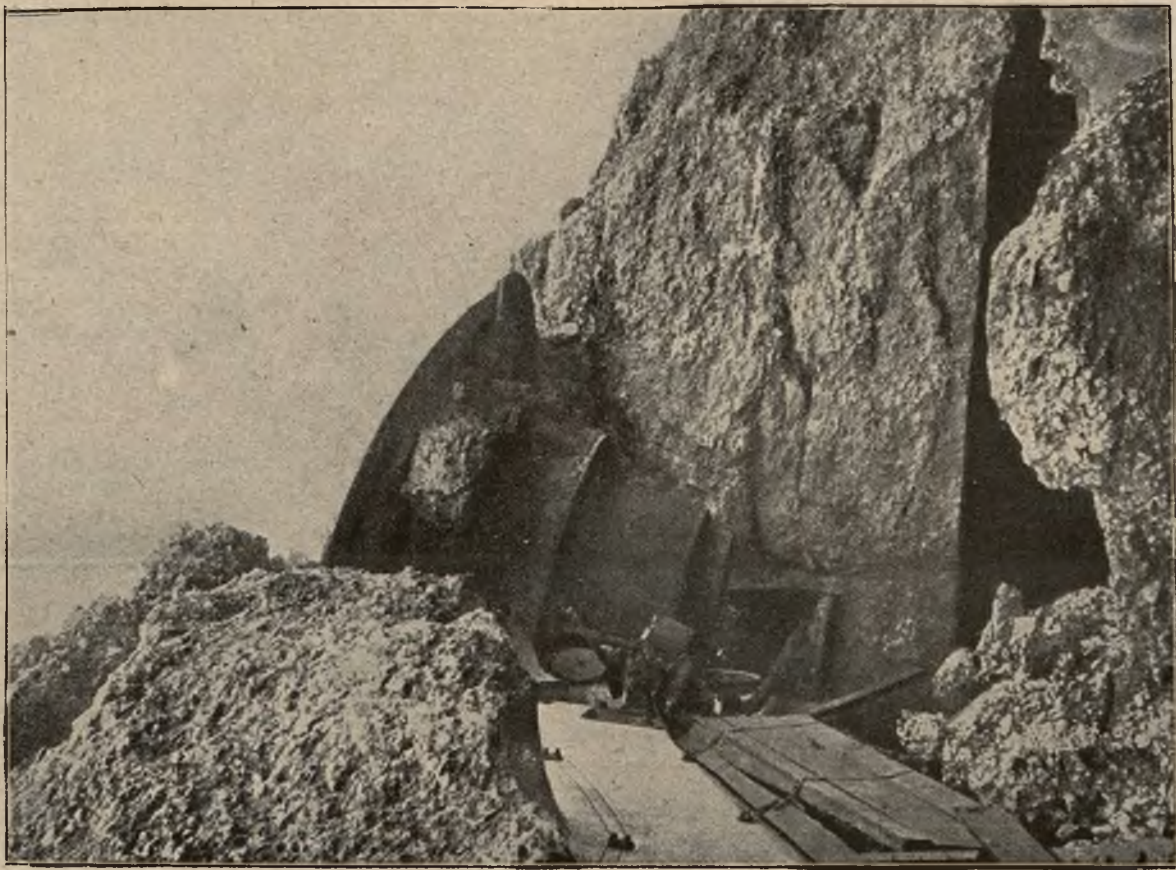
My w Austryi mamy tylko jeńców rosyjskich i serbskich. Umieszczono ich początkowo razem w różnych miejscowościach Węgier środkowych i użyto do robót w polu, później jednak musiano ich rozdzielić, gdyż bracia Słowianie kilkakrotnie się pobili.

I jedni i drudzy z niewoli swej są bardzo zadowoleni i nie myślą nawet o powrocie do swej ojczyzny.

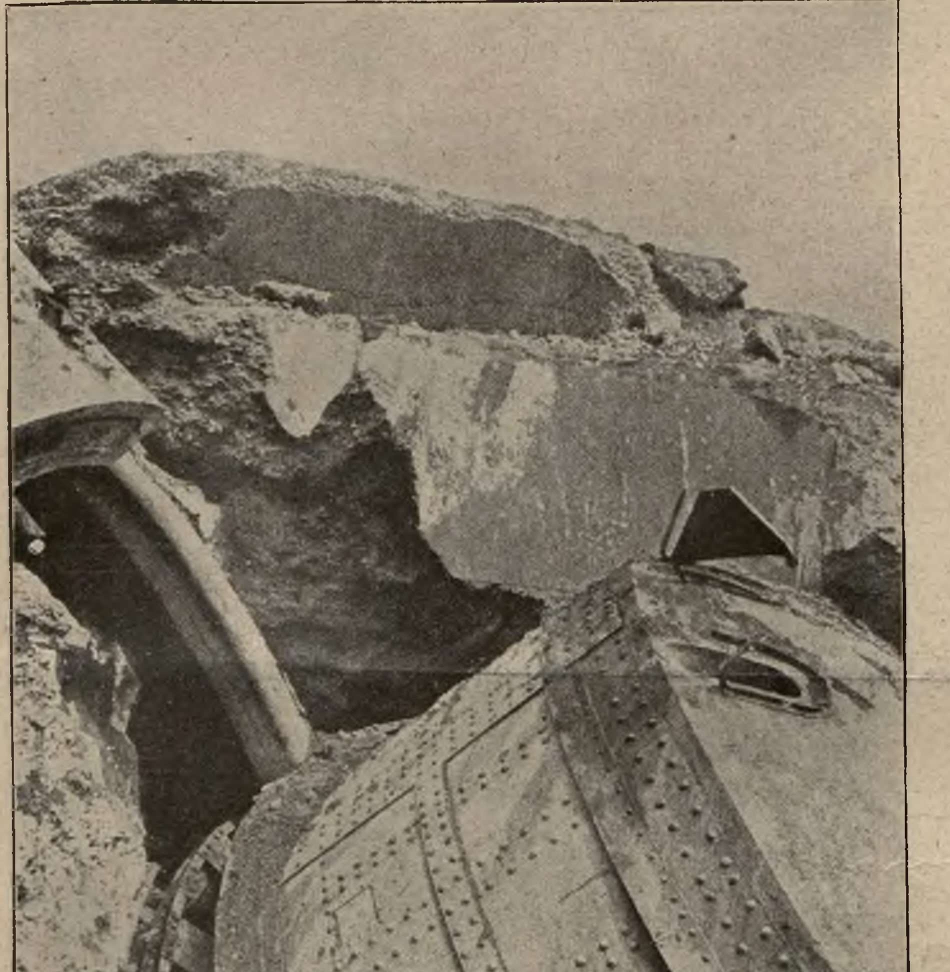
Szczególniej Moskale byli bardzo przyjemnie zaskoczeni łagodnem obejściem się z nimi wojska austryackiego, przełożeni straszyli ich bowiem, że Austryacy każdego pojmanego Moskala wieszają bez sądu, a przynajmniej ucinają mu ręce.

Bardzo im także smakuje „gorzki chleb niewoli“. Sami powiadają otwarcie, iż u siebie w kraju, nawet w czasie pokoju nie byli karmieni tak obficie i smacznie.

W ostatnich czasach zaostrzono nad nimi dozór w czasie przejazdu przez stacye, aby w ten sposób uniemożliwić im sprzedawanie poszczególnych części garderoby, jakie na pamiątkę kupowali od nich obywatele monarchii. To sprawiało rządowi austryackiemu pewne kłopoty, trudno bowiem pozwolić jeńcowi wojennemu, by miał paradować, choćby nawet w niewoli, dajmy na to, bez... niewymownych!



Nowoczesne tarany: Fragment z rozbitego fortu Loucin pod Liége.





Nowoczesne tarany:

Pancerna wieża zburzona pociskami moździerzy-olbrzymów.

Zwaliska przedniego fortu pod Liége, który był grobem całej załogi.



Transport jeńców rosyjskich pod Przemyślem.



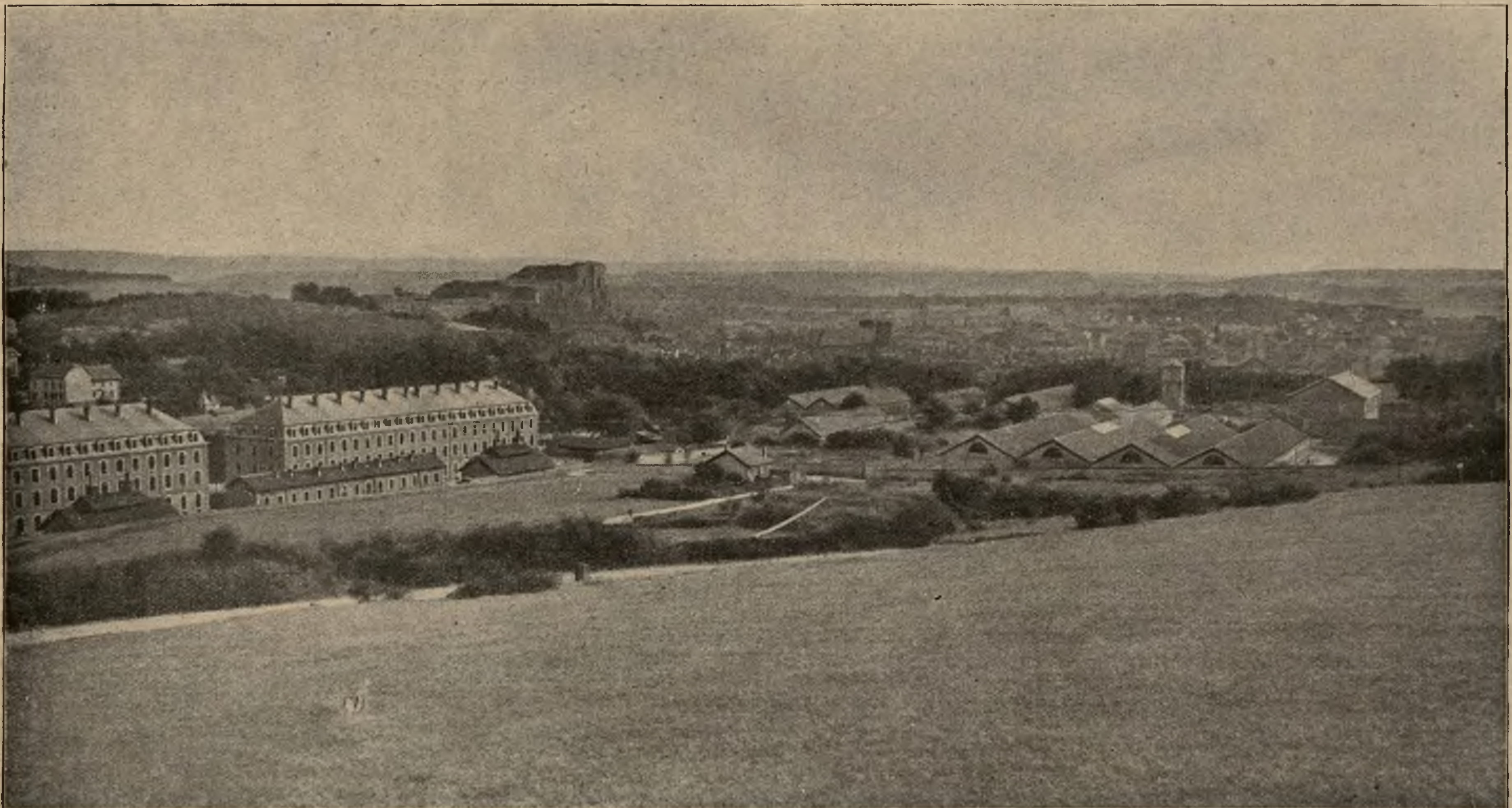
W niewoli: Jeńcy francuscy udają się na roboty polne.



Na teatrze wojny: Wojsko niemieckie pali dom wsi belgijskiej, z którego padły strzały.



Zaprowiantowanie armii: Już podczas jazdy koleją żołnierze gotują na swych kuchniach polowych menaż dla wojska.



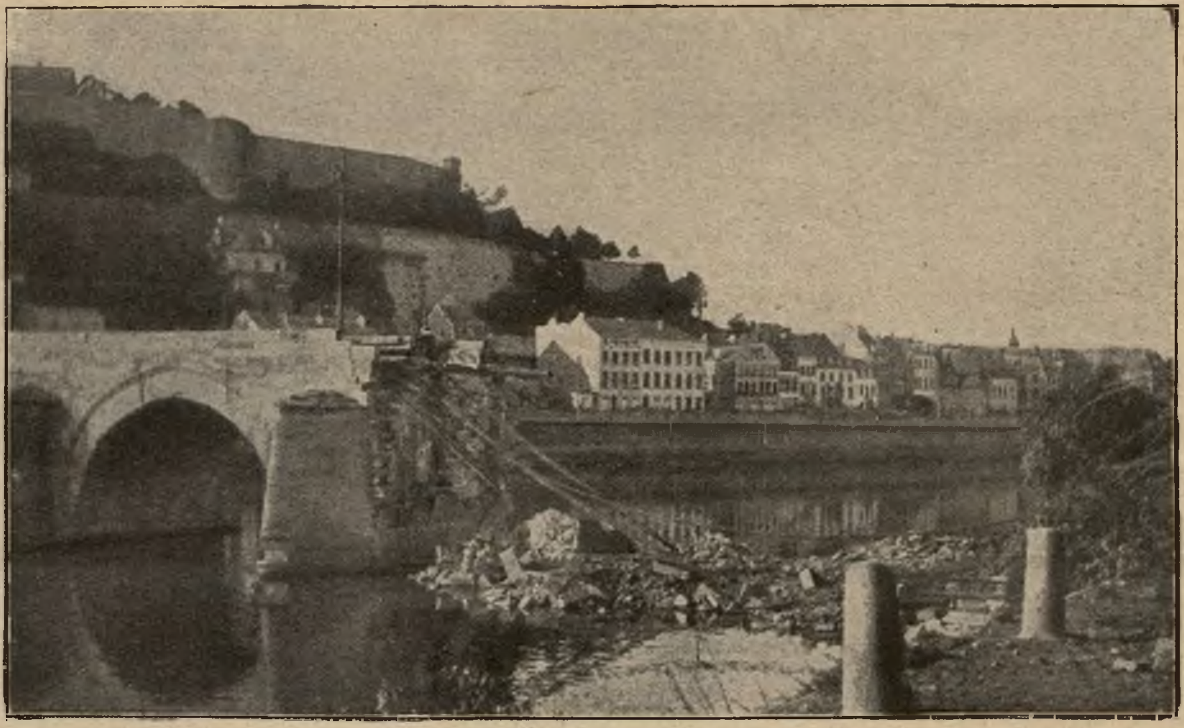
Na teatrze wojny: Sławna z wojny 1870 forteca graniczna francuska Belfort.

Nowoczesne tarany.

„Niewidzialną“ nazwano obecną bitwę, bo faktycznie uczestnicy najkrwawszej walki rzadko kiedy się widzą, a linia bojowa, gołem okiem oglądana, sprawia wrażenie pustej przestrzeni, na której jedynie padające kule dają znać o ukrytych wojskach. Walka straciła stanowczo na malowniczości, spotkanie przeciwników oko w oko należy do wyjątków a o zwycięstwie bodaj że decyduje lepsze okopanie żołnierzy i ukrycie się artyleryi. Zmieniły się zasadniczo sposoby bitwy w polu, podobnie też i walki przy obleganiu fortec. Cała finezya i technika inżynieryi wojskowej wysilały się nad uczynieniem pancerzy fortec trwałymi i odpornymi, lecz jednocześnie ostatnie wynalazki w dziedzinie artyleryi udoskonalały działa i pociski, druzgocące najgrubsze zapory. Jak wykazały dotychczasowe walki, artylerya jest obecnie górą a niemieckie działa-olbrzymy zburzyły najwarowniejsze forty świata, jakimi były forty Liège, Namur i t. d. O samych armatach, o 42 centymetrach średnicy lufy i ich strasznych pociskach ważących kilka centnarów pisaliśmy już, warto jeszcze wspomnieć o skutkach, jakie te nowoczesne tarany wyrządzają po kilku zaledwie strzałach. Moździerze te ustawiają się w odległości kilku kilometrów a nawet mil od obleganej fortecy, a pociski ich po obliczeniu dystansu biją z nadzwyczajną ścisłością.

Do zdobycia i zniszczenia zupełnego największej fortecy wystarczy para dział. Każde z nich wyrzuca zrazu pocisk z osobna co 10 minut, a potem strzelają obydwa równocześnie co 5 minut. Jest to koncert piekielny, a ludzie stojący w pobliżu doznają po każdym strzale wrażenia, jakby jakaś fala powietrzna obalała ich na ziemię. Po jakich 120, 140 wystrzałach twierdza nieprzyjacielska jest postrzelana jak rzeszoto i wali się w gruzy. Ale też każdy strzał kosztuje 38 tysięcy marek! Szczególniejszy jest widok na pozycye tych moździerzy podczas strzelania. — Lufy ich sterczą niemal prostopadle w górę, jak gdyby strzelano do obłoków. Pociski trafiają w upatrzoną twierdzę dopiero spadając z powrotem. Syk i gwizd słyszy się po każdym strzale przez jakie 20 sekund.

Historya tych strasznych moździerzy nie jest dawna, powstały one w początku bieżącego stulecia. Miały zaś na celu przeciwdziałać niebywałej obronności współczesnych twierdz „pancernych, granitowych lub betonowych“, które, doprowadzone do wielkiej doskonałości były wprost niezdobyte dla zwykłych armat, nawet największego kalibru. Te bowiem najnowsze obwarowania odpowiadały w zupełności nietylko najwyższym wymaganiom biernej zdolności odporu, ale odznaczały się też i tem, że znakomicie ułatwiały czynne odpieranie tych ataków i bezsprzecznie zapewniały trwałą użyteczność tych budowli podczas całej bitwy. Działa pomieszczone w stałych, czy ruchomych wieżach pancernych i innych tego rodzaju obwarowaniach, były na początku tego stulecia, przez działa oblężnicze niemal że nie do wzięcia. Cała sztuka oblężnicza polegała na tej głównie zasadzie, że atakująca artylerya działała masowo przeciw szczupłej liczbie ustawionych w pancernych wieżach dział, które mimo to mogły wyjść dzięki swej budowie i umieszczeniu zwycięsko z tej walki. Ta nieproporcyonalność ataku i obrony spo-



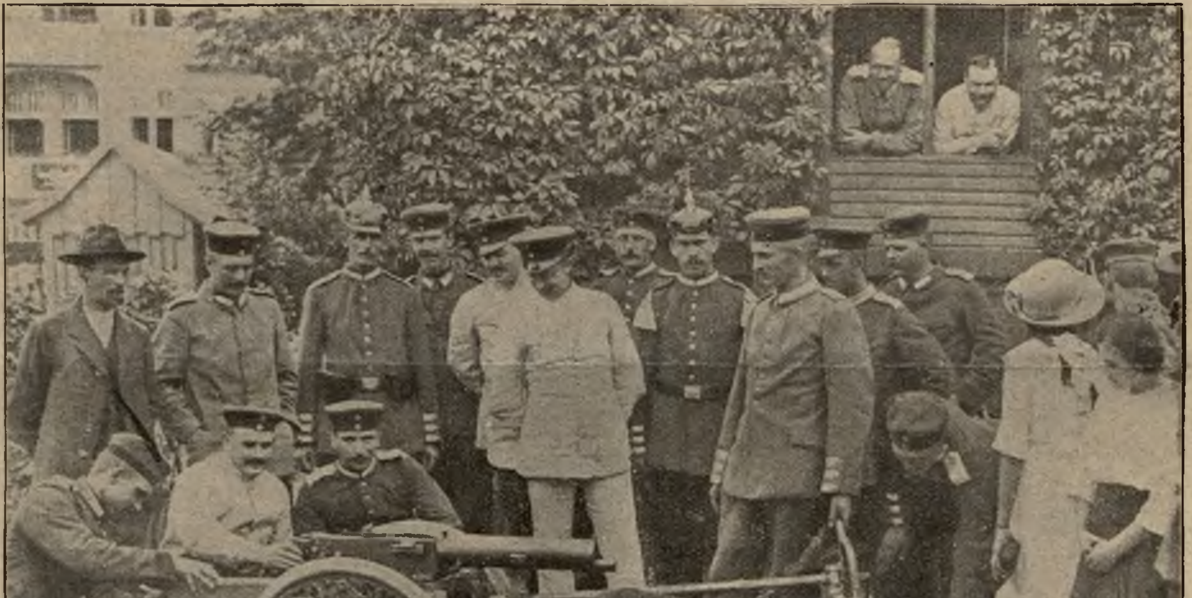
Nowoczesne tarany: Zniszczony most w Namurze.



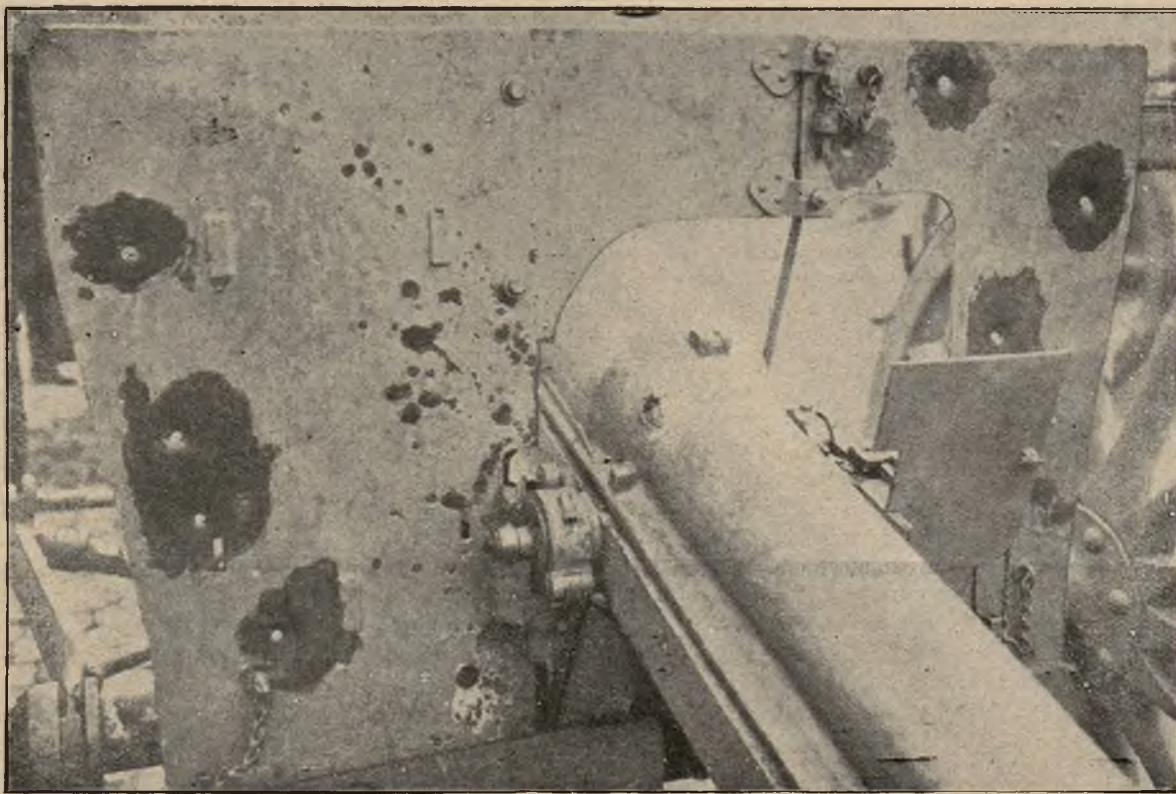
Nowoczesne tarany: Cytadela belgijskiej fortecy Namur, zdobytej przez wojska niemieckie dnia 25 sierpnia (przed zburzeniem)



Zaprowiantowanie armii: Podczas transportu wojsk, żołnierze używają do mycia szalek wody gorącej z maszyny kolejowej.



W niewoli: Czworonogi jeniec belgijski z karabinem maszynowym.



Nowoczesne tarany: Stalowy pancerz haubicy francuskiej, podziurawiony przez kule karabinowe.

wodowała, że poczęto z początkiem tego stulecia myśleć nad tem, aby ten wzajemny stosunek zmienić na korzyść oblegających, zwiększając siłę i wielkość pocisków artyleryjskich.



Nowoczesne tarany: Gruzy i szczątki fortu Loncin pod Liége, zburzonego przez niemieckie 42-centimetrowe moździerze.

Nowy typ dział do burzenia warownych fortów zjawił się roku 1901 w fabrykach firmy Skoda w Pilznie, a ciągłe próby z nim czynione udoskonalały go jeszcze bardziej. W r. 1907 został zbudowany moździerz 30·5 centymetrowy, który wyrzucał bomby o ciężarze 160 kg., zawierające około 37 kg. materyi wybuchowej. Zaletą tego nowego wynalazku było i to, że jego ciężar był mniejszy od bronzowych moździerzy. Skutek jego pocisku, bomby, spadającej z wysokości 6000 m., jest nadzwyczajny. Zwykłe ruchome wieże pancerne są rozbite w kawałki — i wszystko grzebią pod sobą.

Pewien żołnierz z obsługi 42-cm. dział w liście do „Neuste Münchener Nachrichten“ tak opisuje swoje spostrzeżenia stylem żołnierskim: „Byłem przy ostrzeliwaniu jednego z fortów twierdzy. Dnia 26 sierpnia o godzinie 10 min. 20 przed południem rozpoczęła się „sałata“, a dnia 27 sierpnia o godzinie 5 po południu wywiesili Francuzi „koszulę“ białą, gdy ostatnia „głowa“ cukru wbiła się w fort.



Na teatrze wojny: Jenerał Moltke, szef sztabu niemieckiego.

Obrońcy fortu — 20 oficerów i 790 szeregowców — już byli blizcy uduszenia, tak ich zasypywały gruzy. Lekarz opowiadał, że już w pierwszym dniu było 50 wypadków zemdlenia i zapas ozonu byłby się wkrótce wyczerpał. Komendanta fortu i część załogi musiano odkopywać z pod gruzów“.

Opisując ostrzeliwanie fortu Loncin pod Liége, wszystkie sprawozdania podnoszą, że pierwszy strzał był za krótki, ale drugi już był trafny i zrządził tak straszne spustoszenie, że trzeci nabój, jako zbyteczny, wyciągnięto z rury. Żołnierze umierali nagle, jak to widać z położenia ich ciał. Widziano żołnierzy klęczących do strzału, inni leżeli w kazamatach na łóżkach, ubrani w spodnie. Grupa żołnierzy siedziała przy stole i grała w karty.



Na teatrze wojny: Jen. Kluck, dowódca jednej z armii niemieckich, operujących we Francyi.



Walka o zapasy: Wózek z ziemniakami oblężony przez kupujących Krakowian.

WILLIAM THOMPSON.

FATALNA BLIZNA.

Z TAJEMNIC NOWEGO-JORKU.

(Z angielskiego).

6

— Czy mam przyjemność mówić z panną Lizetą Duroise?

Grzeczne zapytanie i nizki, pełen szacunku ukłon umundurowanego młodzieńca pochlebił subrecte, to też uprzejmie odparła:

— Tak, to ja jestem Lizeta Duroise. A czego pan sobie życzy?

Młodzieniec odpowiedział:

— Mam do pani ważny interes! Czy jednak nie uczyniłaby mi pani tej łaski, aby wypić w mojem towarzystwie filiżankę herbaty w poblizkiej herbaciarni? Interes jest naprawdę bardzo ważny, a ja nie jestem zwyczajnym policyantem, lecz ajentem biura śledczo-policyjnego, Perkins et Comp.

Lizeta bez wahania przyjęła grzeczną propozycyę, mając w pamięci świeżą wyrocznię wróżki. Radość napełniła serce dziewczyny, skoro spostrzegła, że przepowiednia ziszczać się poczyna.

Zaledwie opuściła mieszkanie „jasnowidzącej", a już zastąpił jej drogę „przystojny brunet". Postanowiła zatem nie sprzeciwiać się przeznaczeniu i z uśmiechem zadowolenia na ustach udała się w towarzystwie przystojnego młodzieńca do poblizkiej herbaciarni.

Percy Briigger, gdyż on to właśnie był tym przystojnym brunetem, kazał podać dwie filiżanki wonnej herbaty i tacę słodkich ciastek, poczem dobierając słów jak najbardziej wyszukanych i kwiecistych, rzekł:

— Nieprawdaż, że pani spełnia funkcye służącej u młodej, pięknej damy miss Allice Sheffield?

— Tak jest rzeczywiście...

— Miss Sheffield została przed paru tygodniami uprowadzona w nocy przez niegodnych złoczyńców... Powróciła do domu rodzinnego w sposób równie tajemniczy... Biuro Perkins et Comp. obawia się, aby niecny zamach się nie powtórzył...

— Czyż możliwe, ażeby jeszcze raz...

— Tak, niestety, piękna panno Duroise, mamy bardzo poważne podstawy do takich przypuszczeń... To też biuro Perkins et Comp. z upoważnienia samego Mra Sheffielda roztoczy nad tym domem swoje opiekuńcze skrzydła... Pobyt w takim domu strzeżonym przez policyę mógłby źle wpłynąć na nerwy osoby tak delikatnej, tak subtelnej jak pani, miss Duroise... Zdrowie pani mogłoby zostać narażone na szwank, a do tego ja jako przedstawiciel biura Perkins et Comp. dopuścić nie mogę...

Lizeta zarumieniła się, słysząc, że przystojny młodzieniec tak czule troszczy się o jej zdrowie i „delikatne" nerwy...

— Najbardziej wskazaną rzeczą byłoby, aby pani — ciągnął dalej Briigger — zechciała opuścić Nowy Jork a udać się natomiast do poblizkiego miasta, gdzie czeka panią życie wielkiej damy w pięknym wygodnym domu...

Lizeta znowu się zarumieniła. Po chwili zapytała:

— Ale jakżeż ja mogę opuścić służbę bez wypowiedzenia. Ktoż mnie zastąpi?

— I o tem pomyślało biuro Perkins et Comp. Obowiązki pani obejmie osoba starsza, bardziej zahartowana na trudy i przykrości. Pani zechce tylko polecić tę następczynię swoją jako osobę godną zaufania...

— Przecież ja jej nie znam...

— To nic nie szkodzi... Zaręczam słowem honoru w imieniu własnem i biura Perkins et Comp., (a to firma poważna, bardzo poważna!), że ta nowa panna służąca zasługuje w zupełności na polecenie osoby tak szlachetnej i rozumnej jak pani, panno Duroise... To bardzo szanowna kobieta i nadzwyczaj zgrabna garderobiana...

— Więc mam pani mojej powiedzieć...

— Ależ nie! broń Boże, Miss Sheffield nic o naszej rozmowie wiedzieć nie powinna... Toby mogło źle wpłynąć na stan jej nerwów...

— To prawda, ona jest silnie rozdrażniona od czasu swego powrotu...

— A widzi pani... Zatem zgoda, nieprawdaż? Odda pani nieocenioną przysługę miss, choć ona na razie o tem nic wiedzieć nie może.. Ale później, skoro się dowie o wszystkiem, zyska sobie pani jej wdzięczność dozgonną... A tymczasem my ofiarujemy pani w zamian za łaskawe przychylenie się do naszej propozycyi mieszkanie w pięknym wytwornym domu, gdzie pędzić pani będzie życie wielkiej damy, otoczona liczną służbą...

— Czy będę miała tam co do roboty?

— Prawie, że nie... Biuro powierzy pani tylko jedną funkcyę godną tak wysokiego rozumu i inteligencyi...

Lizeta uczuła zawrót głowy... Grzeczne słówka nowego znajomego otwierały przed nią jakieś tęczowe nadzieje na przyszłość... Gotowa była uczynić wszystko, czego od niej żądać będą.

— Cóż to za funkcya?

— Ach! drobnostka... Jest tam pewna kobieta, którą w interesie miss Allice śledzić należy. Będzie ją pani miała na oku i co jakiś czas przyśle pani na moje ręce szczegółowe sprawozdanie...

— Nic więcej?

— Nic, absolutnie... Sądzę, że ta podróż będzie dla pani miłą rozrywką i urozmaiceniem. W ostatnich czasach życie przy boku miss Allice nie musiało być nazbyt przyjemnem. Jak wieść powszechna głosi, młoda dama od czasu swej tajemniczej przygody zmieniła się bardzo. Jest podobno bardzo zdenerwowana, rozdrażniona. Humor ma zmienny.

— Ach! tak! ma pan racyę — westchnęła Lizeta — Niech pan sobie wyobrazi, że podczas tych strasznych przejść pamięć jej nieco ucierpiała. I wie pan, co najdziwniejsze, ona pod niektórymi względami tak się zmieniła, jakby nie była tą samą osobą.

— Czyż możliwe?

— No, kiedy ja panu mówię, to tak jest... Ona ma teraz zupełnie inne gusta. Ot naprzykład: kilka dni temu przyniosłam jej do kąpieli kawałek sandałowego mydła, ponieważ dotychczas było to ulubione jej mydło. No i cóż pan powie na to, wyrzuciła ze wstrętem ten kawałek mydła z wanny, wołając, że nie znosi zapachu sandałowego. Kazała sobie przynieść mydła glicerynowego, którego dotychczas nie używała. No, czyż to nie dziwne?

— Rzeczywiście...

* * *

Nazajutrz Lizeta poprosiła swoją panią o kilka tygodni urlopu. Tłomaczyła swoją prośbę tem, że otrzymała zaproszenie od „bogatych krewnych". Jednocześnie polecała jako swoją zastępczynię „dobrą znajomą, która służyła zawsze tylko w najbogatszych i najbardziej dystyngowanych domach".

Allice urlopu udzieliła chętnie i na proponowaną zastępczynię zgodziła się bez wahania, to też następnego dnia w domu Sheffieldów pojawiło się dwoje nowych służących: mała, zgrabna, cyściutka panna służąca i muskularny, średniego wzrostu mężczyzna o bardzo intelligentnym wyrazie twarzy.

Yim Falk, tak bowiem zwał się nowy służący, miał poza sobą ogromnie urozmaiconą przeszłość. Zwiedził wybrzeża Azyi i Afryki jako marynarz, pracował w kopalniach złota, był pastuchem koni na Dzikim Zachodzie, popisywał się jako siłacz w najrozmaitszych miastach Ameryki północnej i południowej, słowem był to człowiek, który nie z jednego pieca chleb jadał.

Obecnie od dłuższego czasu pod okiem Percy'ego Bruggera ćwiczył się z zamiłowaniem w rzemiośle detektywa, wykazując w tym kierunku niezwykły spryt i wielką odwagę. Odznaczał się przytem nieposzlakowaną uczciwością i sumiennością, to też zdołał zdobyć sobie pełne zaufanie Briggera.

Detektyw, umieszczając Yima w domu Sheffieldów, wiedział, że trudno byłoby mu znaleźć lepszego „Anioła stróża".

— Jeżeli miss Sheffield ma jakieś tajemnice, to niechże ich strzeże pilnie — myślał Percy Brigger — bo mój Yim, chociaż wygląda na zwykłego dobrodusznego Irlandczyka, ze swojemi poczciwemi niebieskiemi oczkami i krótko przystrzyżoną rudą czupryną, umie jednakże patrzeć bystro, bardzo bystro i nic nie ujdzie jego uwagi.

ROZDZIAŁ XI.

Damskie siodło budzi ogólne zdziwienie.

Allice Sheffield wybrała się na przejażdżkę konną do parku w towarzystwie Yima Falka.

Prześliczny, ciepły, prawdziwie letni ranek zwabił mnóstwo osób do parku, upajającego świeżą zielenią i rozkoszną wonią kwiatów.

Mimo wczesnej pory aleja przeznaczona dla jazdy konnej roiła się od miłośników a szczególnie miłośniczek tego sportu.

Niektóre z pań kłaniały się z przyjaznym uśmiechem miss Sheffield, przyczem jednak wszystkie spoglądały na nią z nieukrywanem zdziwieniem.

Musiało to zwrócić uwagę Yima Falka, który począł się bacznie rozglądać dokoła, usiłując odgadnąć przyczynę ogólnego zdziwienia.

Nie czekał długo na rozwiązanie zagadki.

Gromadka swawolnych pensyonarek, hasających na konikach, minęła Allice Sheffield, spoglądając na nią ciekawie.

Jedna z dziewcząt zawołała:

— Patrzcieno! Co się to stało?! Jeszcze jej nigdy nie widziałam na damskiem siodle i w amazonce!

Druga dodała:

— Podobno utrzymywała zawsze, że damskie siodło to nonsens, który powoduje wszystkie nieszczęśliwe upadki z koni. Widocznie zmieniła zdanie.

— Aha! to o to chodzi! — mruknął Yim — Coś w tem jest...

W tejże samej chwili spostrzegł, że młody, elegancki pan podjechał ku miss Sheffield i wita się z nią.

— Aha! to pan Harry Bigson — rzekł sam do siebie — No! miss Allice nie wydaje się nazbyt zachwycona jego towarzystwem, chociaż rozmawiają o czemś bardzo żywo... Ale i on jakoś nie bardzo mile na nią patrzy, ma minę dosyć dziwną jak na towarzysza tak pięknej dziewczyny... A! znowu jakiś znajomy nadjeżdża... Tak, rzeczywiście, to jest pan Robert Price...

Allice obróciła się na koniu, mierząc Harry'ego Bigsona lodowatem spojrzeniem. Nagłym ruchem ręki uderzyła swoją szpicrutą konia towarzysza. Mogło to być wypadkowe, przynajmniej trudno sobie było inaczej wytłomaczyć tak niegrzeczne postąpienie, ale koń Bigsona spłoszył się i odskoczył w bok tak gwałtownie, że jeździec o mało nie wypadł z siodła.

W tej samej chwili na zakręcie bocznej ścieżki ukazał się Robert Price. Allice zwróciła ku niemu konia, rzuciwszy Bigsonowi krótkie pożegnanie:

— Dowidzenia, panie Bigson!

Nie troszcząc się więcej o Harry'ego, który nie zdołał jeszcze uspokoić swego spłoszonego wierzchowca, przywitała się z Robertem.

Allice i Robert pomknęli dalej.

— Zdaje mi się, że Harry Bigson dostał niezbyt łaskawą odprawę — rzekł uśmiechając się młody adwokat.

— Ach! on jest wstrętny — zawołała wzburzona Allice. — Pan nie ma pojęcia, co to za człowiek!...

Urwała nagle, jak gdyby się przestraszyła własnych słów, poczem spokojniej już dokończyła:

— On jest nietaktowny i niedelikatny. Niech pan sobie wyobrazi: zadaje mi bezczelnie pytanie, czy to w mojem tajemniczem więzieniu doszłam do przekonania, że damskie siodło wygodniejszem jest od męskiego.

— Tak, to rzeczywiście było dość niezręczne i niedelikatne. Dziwi mnie to nawet... Harry jest przecież młodzieńcem bardzo dobrze wychowanym...

— Być może, że ja jestem nazbyt drażliwa na tym punkcie... to jest na punkcie mojego nowego sposobu jeżdżenia konno. Widzi pan, ja i teraz przyznaję, że siodło męskie jest daleko wygodniejsze i praktyczniejsze od damskiego, ale kobieta jeżdżąca po męzku zwraca zawsze na siebie uwagę... Mnie bardzo zależy teraz na tem, żeby jak najmniej oczy ludzkie kierować ku sobie i dlatego też postanowiłam odtąd jeździć tylko po damsku...

Mówiła to wszystko bardzo prędko, nie patrząc Robertowi w oczy.

Nagle podniosła na niego wzrok i twarz jej oblekła się rumieńcem. Po chwili rzekła cicho:

— Jak widzę, omyliłam się, budzę ogólne zdziwienie...

— Ach! niechże pani nie zważa na to, że kilku głupców się gapi na panią — odrzekł lekceważącym tonem Robert — ale czy pani nie rozgniewa się na mnie, jeżeli rozmowę zwrócę na niemiły przedmiot, to jest, na tajemnicze porwanie pani?

— Nie, panie Price, nie rozgniewam się. Jeśli pan chce mówić o tem, to widocznie zachodzi konieczna potrzeba. Jestem przekonaną, że pan by mi lekkomyślnie nie wyrządził przykrości.

Robertowi serce uderzyło mocniej.

— Pani — rzekł po chwili — przykro mi bardzo, że muszę panią zaniepokoić, ale nie mogę postąpić inaczej... Zauważyliśmy, że od niejakiego czasu za panią i za Willem włóczą się jakieś podejrzane indywidya... Postanowiliśmy tych ludzi śledzić, gdyż przez nich możemy dotrzeć do głównych sprawców porwania...

— I jakżeż panowie chcecie się wziąć do tego, nie mając żadnego właściwie punktu zaczepienia.

— Jeżeli zdołamy wyśledzić kryjówkę którego z tych panów, albo też ująć go na gorącym uczynku, to punkt zaczepienia się znajdzie. Jeżeli pani nie jest temu przeciwna... albo jeśli nawet zechce nam dopomódz trochę, miss Allice...

Allice skierowała swój wzrok tępo na kark rumaka. Przez chwilę nie odpowiadała Robertowi... Nagle podniosła na niego oczy, które rozbłysły takim płomieniem pogardy i nienawiści, że Robert spojrzał zdziwiony.

Smukła postać wyprostowała się, mała główka podniosła się dumnym ruchem.

Szybko, namiętnie, gorączkowo mówić zaczęła:

— Panie Price, ja myślałam, ja mam nadzieję, że ta okropna przygoda pójdzie w zapomnienie... Nie sądziłam, aby ci ludzie poważyli się jeszcze raz powtórzyć swoje niecne zabiegi. Ale jeśli tak jest, ja napewno nie stanę w ich obronie, nie będę przeszkadzała zasłużonej karze. Jeśli odnajdziecie i schwytacie tych nędzników, ukarzcie ich. Ja będę się starała dostarczyć wam dowodów ich winy. Ale teraz nie mogę... nie mogę wam nic pomódz. Nie widziałam żadnej twarzy, głosy dochodziły do mnie przytłumione i zmienione przez telefon. Nie wiem nic... nic... ale niech pan powie panu Larkinsowi, że nie mam nic przeciwko temu, aby on zajął się tą sprawą... Jedną mam tylko prośbę do pana, panie Price. Jeśli zdołacie schwytać tych ludzi, niech pan mnie uprzedzi o tem na kilka godzin wprzód, zanim będę zmuszona spojrzeć im w oczy. Czy dobrze, przyrzeka mi to pan?

Wyciągnęła ku niemu swą małą rączkę, a czarne ogniste jej oczy spoglądały na niego z błagalnym wyrazem.

Robert nie odpowiadał przez chwilę. Wreszcie wyrzekł powoli:

— Przyrzekam pani w imieniu własnem i w imieniu Willa.

— Ja pana tylko prosiłam!...

— Więc daję pani słowo honoru! — odparł mocnym głosem.

Ręce ich splotły się w mocnym uścisku. Po chwili Allice cofnęła rękę i szepnęła cicho:

— Jaki pan dobry!

Jechali jakiś czas w milczeniu, poczem Allice nawiązała do przerwanej rozmowy.

— Panie Price, trudno sobie panu wyobrazić, jak obecna sytuacya jest dla mnie przykrą i męczącą. Dlatego zdaje mi się, że byłoby najlepiej, gdyby jedno z nas, tj. ja lub Will wyjechało. Oboje czujemy się skrępowani, zmieszani. Odczuwam to samo na sobie. On jest dobry, szlachetny, rozumny, delikatny, ale względem mnie niezupełnie naturalny, chciałem powiedzieć: obecnie niezupełnie naturalny. Sądzę, że on nie rozgniewa się na mnie i że pan także nie straci dla mnie życzliwości, jeśli powiem otwarcie, co myślę. Will zadaje sobie przymus, odwiedzając mnie codziennie i ja zwalniam go od tego... Niech mu pan to powie. Później, kiedy się to wszystko wyjaśni...

O jedną jeszcze rzecz chciałam pana prosić. Wolałabym, aby wszystkie wiadomości tyczące się tej nieszczęsnej sprawy dochodziły mnie przez pańskie usta. Jednem słowem zapytuję, czy pan chce być także moim przyjacielem. To wielka prośba. Nie! niech pan nie odpowiada odrazu. Niech się pan wprzód namyśli, zastanowi, pomówi z Willem. A teraz żegnam pana.

Robert zamyślony powracał do domu. W uszach dźwięczały mu ciągle słyszane przed chwilą słowa.

Wszystko, co mówiła ta dziwna dziewczyna, napełniało go troską i niepokojem.

Ona cierpiała, to było aż nadto widoczne i jemu zwierzyła się po części ze swego cierpienia. Kimkolwiek była, z czary szczęścia nie piła pełnymi haustami ta, która przybrała imię Allice Sheffield.

Albowiem obecnie Robert Price nie miał już wątpliwości, wiedział, że to nie była Allice Sheffield.

— A jednak — zawołał — ta dziewczyna nie może być zbrodniarką, ani zwykłą oszustką!

Po chwili dodał:

— Może i to lepiej, że ona nie jest narzeczoną Willa... Ja przyrzekłem jej przyjaźń i pomoc. Przyrzekłem i dotrzymam! Nie wiem dlaczego czyni to wszystko, w jakim celu gra komedyę, ale głos serca mówi mi, że to szlachetna i uczciwa kobieta!

* * *

Kiedy Robert opowiedział przyjaciołom rozmowę z Allice, Will Larkins zapytał:

— Czy doszedłeś do jakichś stanowczych wniosków po tej rozmowie? Czy ciebie jako prawnika nie uderzyło coś w sposobie, w jaki ona przyjęła twoje słowa?

— W takiej sprawie do stanowczych wniosków dojść jest bardzo trudno. Przyszła mi jednakże jedna myśl do głowy. Zaczynam przypuszczać, że ta dziewczyna przy rozpoczęciu tej całej komedyi poczyniła swoim wspólnikom jakieś przyrzeczenia, których obecnie spełnić nie chce lub spełnia bardzo powoli. Dlatego też te łotry zaczynają jej niedowierzać, uważają za stosowne bacznie ją śledzić.

— Śledzą ją napewno — wtrącił Briigger — włóczą się za nią jakieś trzy indywidua. Wiem to od Yima Falka, który wkrótce zmiarkował, że jego pani następuje ktoś na pięty... No, ale tymczasem poszukiwania nasze nie doprowadziły jeszcze tak daleko, abyśmy z tego jaki użytek zrobić mogli.

— Muszę wyznać — rzekł Will — że to życzenie, które wypowiedziała, bardzo mnie przychylnie dla niej usposabia. Będzie to dla mnie prawdziwa ulga, jeżeli nie będę zmuszony grać codziennie komedyi...

— I ja jestem zadowolony, że pan będzie miał więcej czasu, panie Larkins. — rzekł Brigger — Skoro tylko wpadniemy na wyraźniejszy ślad, natychmiast wyślę pana na poszukiwania.

Will po chwili rzekł:

— Sposób, w jaki odprawiła Harry'ego Bigsona, którego, nawiasem mówiąc, zdaje się bardzo nie lubi, przypomina mocno dawną Allice. Tylko Allice nie byłaby nigdy zdecydowała się jechać na damskiem siodle i przywdziać amazonkę. Czuła do tego nieprzezwyciężony wstręt. Coś wam jeszcze powiem. Ja mam krewnych w południowej Karolinie, u których dużo przebywałem. Otóż im więcej tę mniemaną Allicę obserwuję, tem bardziej dochodzę do przekonania, że ona musiała być wychowana w Południowych Stanach.

— To bardzo ważne, nie zapomnę o tem — zauważył żywo Brigger. — Taka wiadomość, gdyby była pewną, mogłaby nam być bardzo pożyteczną. W każdym razie początek zrobiony i mam nadzieję, że wkrótce pochwycimy nić Aryadny, która nas z tego labiryntu wyprowadzi.

Wstał i spojrzał na zegar, stojący na kominku.

— Żegnam was, moi panowie, czas na mnie. Przypomniałem sobie, że mam dawnego kolegę i przyjaciela w Raleigh. Jest to bardzo zdolny adwokat, który napewno będzie się mógł porozumieć z szefem policyi w Stanach Południowych. Muszę spieszyć, aby napisać kilka słów do mojego dzielnego Joe Hartnessa.

— Dziwny człowiek ten Brigger — rzekł Will, kiedy za detektywem zamknęły się drzwi — ja go doprawdy chwilami nie rozumiem.

— Wystarcza jeżeli on sam siebie rozumie. Możesz być pewny, że on czasu nie traci.

— To też ja choć nieraz, jak powiedziałem, nie rozumiem go, jednakże ufam mu bezgranicznie.

— I ja także — odparł Robert.

ROZDZIAŁ XII.

Wiatr posłańcem.

Pani Nelly Larinson-Peach wybrała się wraz z mężem na daleką wycieczkę konno. Oświadczyła, że sprzykrzyły się jej wygodne szerokie aleje i pragnie zapoznać się z krętemi ścieżkami leśnemi.

Życzeniu jej stało się zadość, ponieważ po dwóch godzinach jazdy państwo Larinson-Peach znaleźli się na cienistej drożynie leśnej, zdaleka od miasta, jego hałasu, gwaru i pyłu.

Pani Nelly, wciągając z rozkoszą w płuca żywicą przesycone powietrze leśne, zwróciła się do męża:

— Prawda, że miałam dobry pomysł, urządzając tę wycieczkę. Odetchniemy trochę, nie łykając przez kilka godzin kurzu miejskiego i nie słysząc łoskotu automobilów ciężarowych. Możemy przytem spełnić dobry uczynek, mianowicie poszukamy jakiegoś ładnego wiejskiego domu, któryby był odpowiednim na letnie mieszkanie dla Agnieszki.

— Ach! dajże mi spokój z tą Agnieszką i jej letniem mieszkaniem! Czyż masz mnie za takiego głupca, że chcesz abym uwierzył w nagłe sielankowe upodobania Agnieszki i twoje pełne poświęcenia poszukiwania? Agnieszka i cichy zakątek leśny, gdzie nie można się stroić i robić plotek — to dwa przeciwieństwa... Wyobrażam sobie, jakby jej się podobała taka leśna sielanka, którą ty jej gwałtem chcesz narzucić, niewiem w jakim celu... Nie pojmuję, co ci właściwie zaświtało w twojej trochę szalonej główce, ale w każdym razie widzę jasno, że coś niezwykłego i że nie o Agnieszkę tutaj chodzi. Jeżeli chcesz mnie wywieść w pole, to musisz sobie jakiś inny chytrzejszy pozór obmyśleć.. Cóż ty znowu teraz wyprawiasz? — zawołał pan Larinson-Peach, widząc, że żona jego zbacza z drogi na niewyraźną ścieżynkę, prowadzącą do małej, wązkiej rzeczki.

Ścieżka zwężała i zacierała się coraz bardziej, ale po drugiej stronie rzeczki widać było wygodną, dosyć szeroką drogę wiejską.

— No, ta rzeczka chyba nie będzie przeszkodą, któraby nas zatrzymała? — zaśmiała się pani Nelly i wspiąwszy konia, skoczyła w rzeczkę. Srebrne krople wody prysnęły z kopyt konia na elegancką amazonkę pani Larinson-Peach, która jednak nic sobie z tego nie robiąc, wykrzyknęła zadowolona:

— Ach! jak przyjemnie! Szkoda, że nie można dłużej jechać w tej ślicznej, lśniącej, srebrzystej wodzie!

Pan Larinson-Peach pospieszył za swoją małżonką i po chwili oboje znaleźli się na owej wygodnej drodze, na której mogli swobodnie puścić się galopem.

Dzień był prześliczny, rozgrzane powietrze przesycone było wonią ziół leśnych i łąkowych oraz świeżo skoszonego siana.

Okolica zdawała się być zupełnie niezamieszkałą, jak daleko sięgał wzrok nie było widać żadnego domu, najlżejszy obłoczek dymu nie unosił się w czystem powietrzu.

— Zdaje mi się — rzekł pan Larinson-Peach — że tutaj chyba zupełnie ludzie nie mieszkają. Pustka zupełna.

— O! nie! — zawołała mała kobietka zwalniając biegu — to jest zbyt piękne, aby się wkrótce nie miało skończyć. Taka czarująca okolica, że też nikomu nie przyszło na myśl zbudować sobie tutaj willę na letni pobyt. Cóż to za wspaniałe naturalne parki. Chciałabym wiedzieć, co jest za tym lasem...

— Prawdopodobnie znowu las, bo mie zdaje mi się, żeby tutaj ludzie mieszkali.

Puścili się znowu galopem i pędzili drogą w milczeniu.

Dopiero na jakimś zakręcie, gdy pani Nelly wyprzedziła nieco swego męża, pozostawiając go w tyle za sobą, wyrwał się z jej ust okrzyk zdziwienia.

— Patrz Arturze! tutaj jest jakiś dom. Widocznie nie jesteśmy na świecie jedynymi rozsądnymi ludźmi, którzy się znają na tem co piękne. Tutaj ktoś mieszka, widzę komin.

— Jeden tylko?

— Nie, jest ich więcej. Wiesz, mam zupełnie takie wrażenie, jak gdybym była Krzysztofem Kolumbem.

Rzeczywiście ukazało się kilka kominów, a wkrótce potem na pagórku piękna willa, najwidoczniej dopiero ukończona.

— Zachwycająca willa — zawołała Nelly — tylko bardzo samotnie położona i zdaje mi się, że dotychczas nikt w niej nie mieszka.

— Sądzisz, że willa jest niezamieszkała? Czyż nie widzisz odcisków kół na drodze, która ku niej prowadzi... tak, nie mylę się, tędy jechał automobil i to duży automobil.

— No, wszystko jedno, jedźmy dalej. Chciałabym spotkać kogoś, ktoby mnie mógł objaśnić, czyją właśnością jest ten piękny dom, zbudowany na takiem odludziu.

Pani Nelly nie potrzebowała czekać zbyt długo na zaspokojenie swej ciekawości. Na najbliższym zakręcie drogi ukazał się wysoki, rosły wieśniak, który począł udzielać informacyi z jak największą skwapliwością, widząc, że pan Larinson-Peach sięga do kieszeni

— Tak. proszę pani, mogę pani wszystko opowiedzieć. Wprawdzie nie jestem tutejszy i dopiero od kilku miesięcy przebywam w tej okolicy, ale historyę tego domu to zna tutaj każdy. Pani pewnie także słyszała o tych bogatych Penbrokach. Otóż stary Penbrok zbudował ten dom dla swojego syna, który był podobno sławnym malarzem i bardzo lubił wieś. Ale zaledwie stary zdążył ukończyć dom. kiedy przyszło nieszczęście. Ten syn utopił się w stawie, niewiadomo czy przypadkiem czy naumyślnie. Penbrok był w rozpaczy, nie chciał więcej patrzeć na ten dom i wyjechał wkrótce z żoną i młodszemi dziećmi do Stanów południowych.

— A obecnie czy mieszka kto w tym domu?

— Tak, stary Penbrok wynajął go bardzo tanio jakiejś starszej chorowitej damie, która przyjechała tutaj ze swoim synem, akademikiem; chodzi na uniwersytet w Nowym Jorku.

— No, widzisz Nelly — zawołał śmiejąc się pan Larinson-Peach — twoja romantyczna główka wysnuła sobie już pewnie jakąś nadzwyczajną historyę, a tu tymczasem mamy starszą chorowitą damę z synem akademikiem.

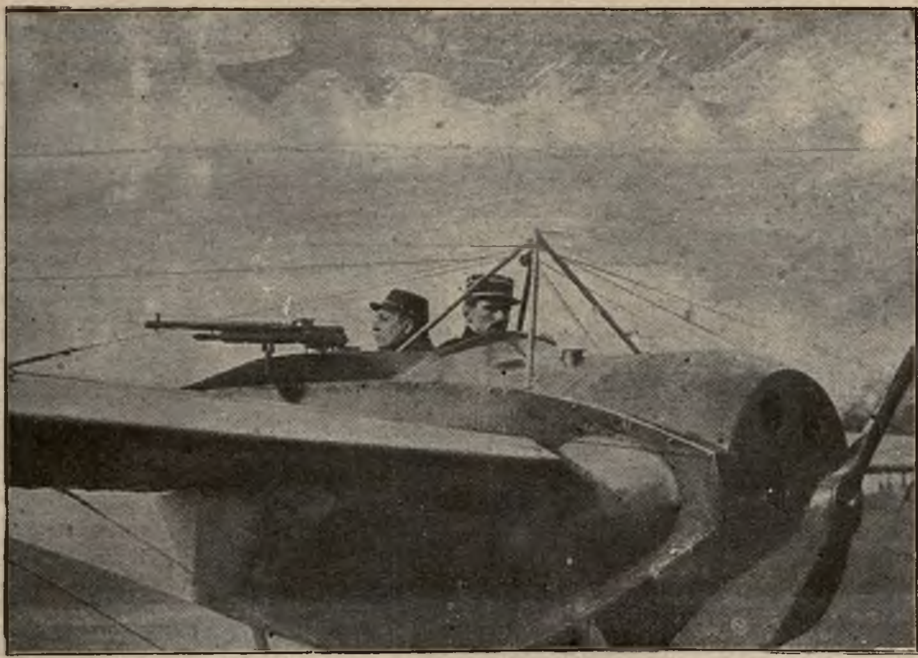
Nelly uśmiechnęła się i popędziła konia.

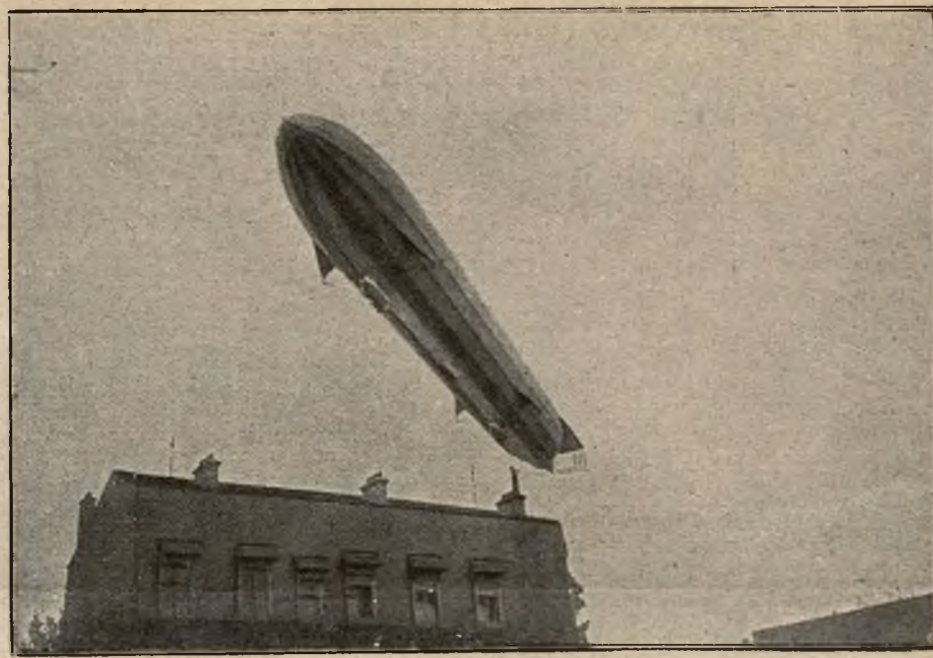
Pogoda zmieniała się powoli, zerwał się lekki wiatr.

Wkrótce też na horyzoncie ukazało się kilka kominów.

— O znowu kominy i dachy! — zawołała pani Nelly — możebyśmy rozpoczęli odwrót, bo wiatr się zrywa. Mój koń...

(Ciąg dalszy nastąpi).





Opancerzony aeroplan francuski z mitraliezą **Wojna w powietrzu:** Balon Zeppelina wyrusza w podróż wywiadowczą.

Kolorowe wojska.

Wiadomo, że Francya ma kolorowe wojsko i to podwójnie: pod względem uniformów — armia bowiem francuska prawie jedyna zachowała starodawny typ mundurów i kolorowych jego części, a nadto liczne kolonie państwa na obu półkulach świata dostarczają żołnierzy innych ras i zabarwienia skóry. Co się tyczy barwności mundurów francuskich, to były one powodem licznych dyskusyj w prasie i ankiet w latach, gdy wszystkie armie zmieniały kolor uniformów na t. zw. „khaki", szary i t. p. ze względu na większe bezpieczeństwo żołnierza w wojnie. Wogóle dobierano kolory jaknajmniej wpadające w oczy na terenie. Większość jednak oficerów francuskich oświadczyła się za zachowaniem barw jaskrawych, podobno z pobudek ściśle towarzyskich, jako że dawne mundury są bardziej „twarzowe", zwłaszcza płomienno-czerwone spodnie i takież naszywki na bluzach. Niepraktyczność tego odczuli niestety, bardzo przykro Francuzi w obecnej wojnie, „niewidoczna" piechota niemiecka zdziesiątkowała zaraz w pierwszych bitwach barwnych żołnierzy francuskich.



Na teatrze wojny: Generał Pau, generalissimus armii francuskiej, który w wojnie 1870/71 stracił prawą rękę.

Oprócz tej barwności ma armia francuska inne wojsko, prawdziwie kolorowe t. j. kilkanaście tysięcy Maurów i Arabów z Algieru, sławnych z odwagi bojowej oraz ukochania niepodległości, jaką raz wraz usiłują odzyskać, buntując się przeciw rządom francuskim. Z nich to rekrutują się żuawi, urodzeni żołnierze, którzy zdobyli sławę wojenną w wojnie krymskiej i francusko-pruskiej w 1870 r.

Interesującą grupę tworzą strzelcy senegalscy. Są to negrowie, należący do plemion: Mandiuka, Serechulc, Fulba, Sezer i Wolef oraz Berberowie, zamieszkujący Senegambię.

W obecnej wojnie Francya, odniósłszy zaraz w początku straszne klęski, zmobilizowała już wszystkie swe wojska kolonialne i, jak ostatnio dowiadujemy się, przewiozła je do Europy, stawiając przeciw armii niemieckiej całą swą siłę zbrojną.

Podobnie Anglia, posiłkująca Francyę, przesłała jej już korpusy europejskie, a teraz, po rozbiciu ich, przesłała tam swych indyjskich strzelców, a Francya chce ściągnąć swe wojska z Indo-Chin.



Kolorowe wojska: Piechota senegalska w armii francuskiej.



Kolorowe wojska: Strzelcy algierscy w armii francuskiej.

Kronika tygodniowa.

Aczkolwiek zapewniał mnie tak znakomity znawca stosunków europejskich, jak Aron Gajer, że obecna wojna musi się prędko skończyć, bo, własne jego słowa: „uni hopów nie mają...", widzę przecież, że i on był w błędzie. Drugi miesiąc się kończy, a tu o końcu wojny ani słychu, ba, powiadają nawet i piszą, a to musi być prawda, że na razie załatwiono się dopiero z pierwszą fazą wojenną, a takich faz niewiadomo ile jeszcze być może.

Wobec tego i ja musiałem się pogodzić z przykrą rzeczywistością i rozpocząłem przygotowania na wielką skalę, ale tym razem na własną rękę, przekonałem się bowiem, że gospodarskim zdolnościom mojej lepszej połowy absolutnie nie można dowierzać.

W pierwszym więc rzędzie, ponieważ obecna wojna jest, jak dotąd przynajmniej, wybitnie lądową, pozbyłem się wszelkich starych marynarek i przy tej właśnie sposobności interwiewowałem pana Arona Gajera, który mnie jednak prosił, by z rozmowy tej nie robić dziennikarskiego użytku.

Za otrzymaną gotowiznę rozpocząłem zakupna prowiantów, naturalnie według ogłoszonej urzędowo listy magistrackiej, by cała moja rodzina była na wszelki wypadek zaopatrzona w odpowiednią ilość węglowodanów, białka i tłuszczu.

Największy kłopot miałem oczywiście ze śledziami, po pierwsze bowiem nikt ich u mnie w domu nie jada, więc się zmarnują, po drugie zaś pokazało się, że każdy obywatel rozszerzonego Krakowa tak je sobie wziął do głowy, iż zapomniał o wszystkiem innem, ale śledzie musiał mieć. Ponieważ zaś owe urzędowe wskazówki mówiły, iż na głowę wypada po dziewięć kilogramów, a mieszkańców zostało w mieście, nie licząc wojska, powiedzmy sto tysięcy, zapotrzebowanie więc śledzi w tym czasie wyniosło okrągło milion kilogramów, a tyle w całym Krakowie wraz z przedmieściami nie było.

Doszło więc do tego, że dziś łatwiej u nas kupić krokodyla, niż mizernego śledzia, który dawniej kosztował zaledwie kilka halerzy. Ponieważ zaś Holandya ogłosiła neutralność. Szkocya zaś należy do Anglii, więc pozostaje z nami na stopie wojennej, zapotrzebowanie śledziowe pokrywać możemy tylko w Niemczech, a i tam gotowo ich braknąć w tym wojennym czasie.

Nie radziłbym zresztą nikomu, choćby był nawet największym amatorem śledzi, by spożywał je, zwłaszcza z obecnego połowu, łatwo bowiem zdarzyć się może, że taka niewinna rybka połknie minę, pływającą po morzu, i potem wywoła eksplozyę w żołądku konsumenta. Proszę sobie wyobrazić, jaką to spowodowałoby w mieście panikę, gdyby tak spokojny obywatel miasta Krakowa, zjadłszy takiego, nadziewanego miną śledzia, padł trupem, rozdarty na kawałki. Kto wie, czy nie pociągniętoby go potem do odpowiedzialności karnej za zakłócenie porządku publicznego.

A szelmy Angliki to strasznie chytry naród, takich min pozakładali mnóstwo i to specyalnie w okolicach, gdzie śledzie lubią przebywać.

Baczność więc przed śledziami, albowiem żaden z nas nie wie ani dnia, ani godziny! Na każdym kroku czyha na cię niebezpieczeństwo, łatwo stać się może, iż jutro obudzisz się nieboszczykiem.

Co do innych zapasów, to zaopatrzyłem się we wszystko ściśle według magistrackiej recepty, nie umrę więc z głodu ani ja, ani moi najbliżsi, gorzki los osładzać sobie zaś będziemy owymi cukierkami i czekoladą, o której wspominałem w poprzedniej kronice.

Niema więc złego, któreby na dobre nie wyszło. Narzekałem na moją żonę, dziś widzę, że miała racyę, ale głośno tego jej nie powiem, by zbyt nie tryumfowała.

Jak każdy przeciętny obywatel i ja studyuję z nadzwyczajną pilnością wiadomości polityczne i widzę, że na wojnie europejskiej wyszła najlepiej dotąd Anglia, gdyż pozbyła się kłopotu z Ulsterem, co zaś najważniejsze, dają jej spać spokojnie sufrażystki, zajęte także nie na żarty wojną.

Energiczne niewiasty formują więc przedewszystkiem legiony amazonek, które mają wpaść do Niemiec i maszerować wprost na Berlin, te zaś, które okażą się niezdolnemi do służby wojskowej, zachęcają mężczyzn, by chwytali za broń i grożą, że kto się będzie ociągał, dostanie białe pióro... Gdyby ono było strusie, sambym się na nie pisał.

Wyobrażam sobie panikę, jaką wywołałyby sufrażyski, wtargnąwszy do Niemiec i myślę, że nie dałby im rady nawet sam Zeppelin, którego Anglicy tak się boją, iż ciągle patrzą w niebo, czy przypadkiem nie leci. Ale dobrze im tak, nie trzeba było pchać nosa tam, gdzie nie było potrzeba. Pocieszają się przynajmniej tem, iż zdobyli rekord światowy w szybkobieganiu, w czem im nikt nie dorówna, nawet lekkonodzy Francuzi. Ci znowu powiadają, że tak nienawidzą Niemców, iż muszą się do nich ciągle z obrzydzenia obracać plecami.

Dzięki wojnie mnożą się także różne znakomite wynalazki, a najbardziej epokowem ma być coś, co wymyślił jakiś pan, jeśli się nie mylę, nazywający się Turpin, który powiada, że w jednej chwili potrafi wszystkich Niemców wypędzić z Francyi. W jaki sposób tego dokona, to jego tajemnica, gdyż wynalazek podobno jeszcze nie dojrzał. Mnie się zdaje przecież, że podzieli on los Włocha, Uliviego, który miał zapalać miny na odległość, ale jakoś mu się nie powiodło.

Niech obu jednak pocieszy, że taki to już los wynalazców, zwykle ludzie nie chcą się na nich poznać. Ot i w Krakowie mamy ich dość, sami to genialni ludzie, którzy gwałtownie chcieliby ozdobić swe głowy wieńcem z liści bobkowych, a przynajmniej wypełnić swe kieszenie mamoną, bodajby w nowych bankocetlach dwukoronowych, przypominających dziwnie dawne etykiety z piwa okocimskiego.

Niechby tam zresztą wyglądały, jak się im podoba, byle człowiek miał ich jak najwięcej. A tu tymczasem, jak na złość, coraz rzadziej się człowiek z nimi spotyka. Choć banki wróciły, ani rusz nie chcą nic dać, a na każdą prośbę odpowiadają jednem magicznem słowem: moratoryum! Dawniej jedno słowo otwierało skarby Sezamu, dziś jedno zamyka podwoje kasowe... Na domiar złego, z powodu ewakuacyi miasta wyjechali z Krakowa i nasi dobrodzieje i dobrodziejki z czarnej giełdy, od tygodnia napróżno szukam poczciwej pani Hirszprungowej i w żaden sposób znaleźć jej nie mogę.

To przynajmniej dobre, że mamy już pilznera, pragnienie nie dokucza więc nikomu, a kombinacye polityczne snuje się swobodnie, zwłaszcza, że w krakowskich lokalach śniadaniowych czuje się człowiek zupełnie bezpiecznym. Tyle tu już bomb pękło, a żadna sklepienia nie uszkodziła, możemy się więc śmiać nawet z czterdziestodwucentymetrowych moździerzy, które tutaj okażą się bezsilne.

Jest jednak coś, potężniejszego niż nawet taki potworny moździerz, co nawet tak odważnych ludzi, jak krakowscy, knajpkowi politycy potrafi w jednej chwili rozpędzić... To żony ich i teściowe. Część ich wprawdzie wyjechała, drugą wyekspedyuje się przymusowo, te przecież, które zostały, dadzą się niejednemu we znaki.

Ot, nie dawniej, jak wczoraj, siedzieliśmy w jednym z takich przybytków, radząc zawzięcie nad tem, co to będzie, języki się rozwiązały, wszyscy prześcigali się w tworzeniu kombinacyi, gdy wtem... bez huku padła bomba... weszła żona jednego z towarzyszów biesiady.

Zbladł jak kreda, przerażenie odebrało mu mowę.

— Ładnie się panowie bawicie! — rzekła wodząc okiem po zgromadzonych, niczem wódz po swych zastępach. — Powiedziałeś, że idziesz na posiedzenie, znam cię jednak o tyle, iż wiedziałam, gdzie cię szukać!... Chodź do domu!

— Nie gniewaj się kotku! — odparł cichutko — Ja tu przyszedłem tylko po to, by się od kolegów dowiedzieć, który gatunek śledzi jest najlepszy, wiesz przecież, że magistrat kazał się w nie zaopatrzyć...

— No! no!... Już ja ci dam w domu śledzia! Biedna żona siedzi opuszczona, a kochany mężulek się zapija... Wstydzilibyście się panowie tak go ciągnąć na pokuszenie, bo wiem, że gdyby nie wy, to on byłby zupełnie inny...

— Ależ, pani dobrodziejko! My tu rzeczywiście radziliśmy nad śledziami, bo przecież każdy uczciwy obywatel musi się stosować do rozporządzeń władzy... Kto nie będzie miał ich dziewięć kilo na głowę, ten będzie wydalony z fortecy...

— A ja panom powiadam, że śledzi nie kupię i z Krakowa się nie ruszę... Ciekawam, co mi zrobią?... Ja pójdę do samego jenerała i nagadam mu, co się zmieści... Widzicie ich!... Śledzie mi każą jeść!... Ja wiem, że wam się to uśmiecha i nie dziewięć kilo, ale dziewięćdziesiąt kupiłby każdy chętnie by potem módz się wycyganić do knajpy na piwo! Ale nic z tego! Przynajmniej ja na to nie pozwolę i powiadam ci, że jeśli mi bodaj jednego śledzia do domu przyniesiesz, to cię razem z nim na łeb zrzucę ze schodów!

— Niechże pani dobrodziejka nie zapatruje się na tę kwestyę tak czarno — zabrałem ja głos z kolei — Śledzie są bardzo zdrowe, inaczej pan fizyk nie pozwoliłby na zaopatrywanie się w nie na czas wojny.

— Tak! Ale potem mój mąż będzie ciągle narzekał, że mu się pić chce... A on wody nie znosi!

— I ma racyę! Przedewszystkiem woda jest niezdrową, po drugie zaś trzeba oszczędzać, by nie brakło jej w czasie oblężenia...

— Daj mi pan spokój z tem! Wyście wszyscy jednacy! Ja powiem pańskiej żonie, by nie pozwoliła i panu na te śledziowe wybryki...

— To zbyteczne, moja pani! Ja śledzi z zasady nie jadam...

— Skończmy już raz! Chodź stary!...

Ale teraz obudził się w mym towarzyszu duch rycerski. Wstał, wziął się pod boki i rzekł:

— Właśnie, że nie pójdę! — potem siadł, ale tak głośno, iż aż szklanki na stole podskoczyły.

— Co?... Nie pójdziesz? — zawołała energiczna niewiasta i tak jadowicie spojrzała na swego tyrana, iż obleciał go blady strach. Zaczął się trząść, jak liść osiki i z pewnością, gdyby nie wstyd wobec gości, byłby się schował pod stół.

— Idę już, koteczku! — rzekł wreszcie z rezygnacyą, skłonił się i odszedł za połowicą z miną, z jaką odprowadzano z miejsca egzekucyi Maryę Stuart po ucięciu jej głowy.

Nastała między nami cisza, przerwał ją dopiero jeden z biesiadników słowami:

— No, proszę! Czy bomba z czterdziestodwucentymetrowego moździerza mogłaby zrobić większe spustoszenie? Pfuj! A mówiłem mu, by się nie żenił! Nie chciał słuchać!

— Co też radca plecie! — zauważyłem — Radca przecież też żonaty!

— Niestety! Dziś tego żałuję... Ale trudno! Młodość, płochość... Człowiek był wtedy młody, więc głupi! Dziśbym tego głupstwa nie zrobił. Dajmy jednak spokój! O czem to mówiliśmy przedtem, zanim dyabli to babsko przynieśli?

— O Francuzach!

— Prawda! Otóż ja powiadam kochanym panom, że za lat kilka lub kilkanaście warto będzie pojechać do Francyi.

— A to dlaczego?

— Bo młode pokolenie, które urodzi się po tej wojnie, będzie bardzo ciekawe. Cytajcie tylko panowie, kogo tam teraz niema! Są Niemcy, Anglicy, strzelcy z Algieru, jazda bengalska, prawie czarne wojska z Nepalu, Afgańczycy... Wiadomo zaś kochanym panom, że Francuzice są bardzo kochliwe... Ja sam, nie chwaląc się, gdym był jeszcze kawalerem, znałem tu w Krakowie jedną guwernantkę z Paryża... Co to była za kobieta! Powiadam panom, palce lizać! A jaka zdolna! Wziąłem u niej kilka lekcyi języka francuskiego i choć nie używam go wcale, dziś jeszcze pamiętam dużo słówek. Ot... *aimer* to tyle, co kochać... A ona zawsze mi mówiła. *cochon*... Ale nie wiem, co to znaczy.

— Więc radca sądzi, że ta nowa wędrówka narodów nie pozostanie bez wpływu na ludność Francyi?

— Nie tylko sądzę, ale jestem tego pewny. Sam znałem córkę jednego piekarza, z którą ożenił się kominiarz, dzieci potem były w kratkę. Dlaczego we Francyi miałoby być inaczej?

— Bajki, prześwietny sądzie!

— Żadne bajki!... Jeśli mówię, że tak, to musi być tak! Ja nigdy nie kłamię. Zresztą, moi panowie, kto dożyje, ten się przekona.

I kto wie, czy na ten temat nie bylibyśmy jeszcze długo i szeroko rozprawiali, niestety, każdy z nas przypomniał sobie, że ma dom i żonę, ponieważ zaś zbliżała się pora obiadowa, a właściwie już nawet minęła, trzeba było iść dmuchać w małżeńskie ognisko, by przypadkiem nie wygasło. O! bo nasze żony to są energiczne niewiasty i nie opłaci się z niemi zadzierać! Lepszy zbrojny pokój, niż wojna domowa!

Kończyłem już kronikę, gdy zgłosiła się do mnie pewna dama z zapytaniem, czy zamiast potrzebnych prowiantów może się wykazać wobec rewidującej zapasy komisyi grzybkiem japońskim, mającym, jak wiadomo, różnorakie zastosowanie.

Odradziłem jej, gdyż z Japonią jesteśmy na stopie wojennej, mogłaby więc narazić się z tego powodu na nieprzyjemności.

Czy mnie usłuchała, nie wiem!

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

18

Gdy to zrobiłem, zagłębiłem w otworze sztabę i umocniłem silnie. Poczem oddarłem wielki strzęp mojej sukni pierzastej, która, jak już wspominałem, była złożona ze skórek rozmaitych ptaków, odprułem kilka tych skórek, skręciłem je, złączyłem i wyrobiłem z nich sznur długości dwu metrów, którego trwałość wypróbowałem, ciągnąć z całej siły. Przywiązałem ten sznur do sztaby metalowej i spuściłem się na nim, aż do zagłębienia znajdującego się podemną. Przeprawa nie była niebezpieczną dla człowieka przyzwyczajonego do ćwiczeń fizycznych, jakim ja byłem, jednakże przyznaję, że gdy znalazłem się zawieszony w powietrzu ponad tajemniczą przepaścią, zamknąłem oczy i musiałem użyć całej swojej energii i przytomności umysłu, aby nie dostać zawrotnej głowy i nie runąć w dół. Gdy dotknąłem nogami brzegu gzymsu i znalazłem punkt oparcia pomiędzy dwoma kolumnami z szafirowego kryształu, odetchnąłem z ulgą.

Po prawej i lewej stronie mieściły się dwie miseczki podobne do tej, którą znalazłem w swojej celi i obydwie były napełnione krwią świeżą.

Nie chciałem zbytniej uwagi zwracać na ten szczegół, który był może fatalnym znakiem i ostrzeżeniem; zauważyłem z radością, że te pozorne kryjówki są wejściem do licznych korytarzów, ciągnących się wokoło wieży. Szedłem więc odważnie w półcieniu ścieżki spadzistej, która niedługo zaprowadziła mnie do niższej galeryi, położonej wzdłuż platformy.

Wspomniałem o półcieniu, znajdowałem się rzeczywiście otoczony półmrokiem, światłem szarem, bezbarwnem, gdyż galerye oświetlone były jedynie wewnętrznem światłem, przeciskającem się przez szyby kryształowe.

Grunt galeryi owalnej, na której przebywałem, był lekko pochyłony, otaczał on cały budynek wokoło i na nim skupiały się wszystkie korytarze, wychodzące ze zagłębień każdego piętra.

Zaciekawienie tą szczególną budową było tak wielkie, że pod jego wpływem zapomniałem o głodzie i pragnieniu.

Nareszcie doszedłem do piętra, gdzie nieskończona linia kolumn łączyła się prostopadle z galeryą, na której stałem i rozchodziła się na wszystkie strony.

Pomimo żywego pragnienia poznania dokładnie całej konstrukcyi szklanej wieży, musiałem się zatrzymać, bo od tego miejsca galerya tonęła już w zupełnej ciemności. A przytem wstrząsnął mną lęk nagły. Obawiałem się, że to szatańskie spiralne zejście ciągnąć się tak może w nieskończoność i mogłem tak kręcić się bez skutku długie godziny bez nadziei wyjścia.

Boczne galerye pociągały mnie silniej. Na końcu ich dostrzegłem łagodne różowe światło, jak gdyby refleks roznieconego ognia gdzieś w dali, ale galerye te były tak liczne, że stanąłem niezdecydowany, nie wiedząc którą z nich wybrać, bo lękałem się zabłądzić w tym olbrzymim labiryncie. Po chwili namysłu zdałem się na los szczęścia i wszedłem w galeryę, znajdującą się najbliżej mnie.

Zeszedłem najprzód przez szkarp dosyć pochyło i znalazłem się w wysokiej sali, na widok której stanąłem zdumiony. Przez olbrzymie ściany przezroczystego jak łza kryształu, obramione wysokiemi kolumnami z czerwonego metalu, rozciągał się przedemną cudowny pejzaż. Gaiki białego i różowego korala mieszały się ze złotemi łanami porywających sargassów, alg morskich i fikusów w rozlicznych odcieniach. Przepyszne wodne kwiaty unosiły się nad gęstwiną liścia, przypominając mi bogatą i rozkoszną florę Afryki południowej.

Na niektórych krzewach alg widziałem owoce, podobne do ananasów i bananów z naszych ziemskich krajów. Podobnie jednak olbrzymich kwiatów o tak żywym i czystym kolorycie niespodziewałem się nigdy ujrzeć. Były takie, które miały przeszło metr średnicy. Wokoło nich wdzięcznymi festonami owijały się purpurowe jak krew liany.

Trochę na uboczu wznosił się las gigantycznych fikusów o pniach okrągłych i gładkich, rozpościerających lśniące bursztynowe liście, podobne do wachlarzów, lśniących i poruszających się nerwowo za najlżejszym podmuchem wiatru.

Ale jeden szczegół najwięcej zwrócił moją uwagę i wprowadził w niemałe zdumienie i ciekawość. — Wszystkie te przepyszne wodne rośliny i krzewy rosły w symetrycznem oddaleniu od siebie, wykluczając wszelką możliwość przypadku. Składały się one z alei i klombów o równych, wymierzonych liniach. Przypominam sobie teraz o gąszczu alg, o długich żółtych kwiatach i dziwnie pokręconych liściach, które z oddali robiły wrażenie łanu dojrzałego zboża.

Niektóre krzewy o gałązkach puszystych nosiły, jak się mnie zdawało, ślady nożyc ogrodnika, a ścieżki i aleje posypane różowym piaskiem utrzymane były starannie. Podwodna zaś głębia dawała oku wszelakie urozmaicenie. Duże ryby o pletwach i łuskach z błękitu i złota igrały w algach lub sunęły szybko jak błyskawice pomiędzy krzewami korala. Olbrzymie mięczaki, takie, jakie już spotykałem w pierwszych dniach pobytu mojego na Marsie, pełzały z powagą po piasku. Tęczowe świtezianki wielkości naszego gołębia unosiły się z cichem brzęczeniem srebrzystych skrzydeł. Widziałem żółwie bardzo mało różniące się wielkością i kolorem od ziemskich, szczypiące spokojnie trawę. Szmaragdowe i różowe jaszczurki o ruchach gibkich żmii wypełzały z pod krzewów, uganiając za mikroskopijnemi rybkami.

Miałem przed sobą olbrzymie i najoryginalniejsze akwaryum. Byłem głęboko przejęty i wzruszony. Zrozumiałem, że tym razem znajdowałem się wobec wysokiej cywilizacyi, którą spodziewałem się zawsze spotkać na Marsie. Wszystko to, co widziałem, nosiło na sobie widzialne ślady wyrafinowanego postępu.

Zapomniałem na chwilę o dzikich zwierzętach i potworach, z jakimi miałem do czynienia, duszę moją rozpierało radosne uczucie i zadowolenie na myśl, że dopuszczony byłem do podziwiania tej nieznanej twórczości intellektualnej.

Ci, którzy stworzyli pod wodami morza ten park bajeczny i wybudowali kolosalną wieżę kryształową, musieli być ludźmi wysokiej intelligencyi. Nie dziwiłem się już teraz, że zachowali mi życie i pozostawili wolność. Byłem zachwycony i spokojny, nie wątpiąc już w lepszą przyszłość. Z tą spokojną wiarą, którą daje kult idei i wiedzy, byłem przekonany, że przez tych ludzi dobrze przyjęty zostanę. Nauczę się ich języka i wtajemniczę ich w cały zasób mojej wiedzy, nauczę ich poznać Ziemię, opowiem im historye ras ludzkich i wysokie przeznaczenie narodów.

Jakże dalekim byłem teraz od zniechęcenia i apatyi ubiegłych dni! Nowe życie i nowe nadzieje wstępowały do mojej duszy!

Nie mogłem oderwać spojrzenia od tego zaczarowanego widoku, który mi hojnie wynagradzał przebyte cierpienia i niebezpieczeństwa.

Nagle, na zakręcie łanu fikusów ujrzałem postać ludzką. Człowiek ten był małego wzrostu, ciało jego przysadkowate, członki grube i krótkie, jednakże chód jego odznaczał się jakimś silnym, żywiołowym wdziękiem. Ciało jego było całkiem pokryte ciemnym włosem, przypominającym fokę lub wydrę morską. Tylko twarz i ręce pokryte były drobnemi, błyszczącemi łuskami, pod któremi jednak dojrzałem zarys rysów i białość skóry. Niektóre choroby wywołują taką przemianę.

Przypomniałem sobie wówczas twierdzenie pewnego lekarza z dawnych czasów o pewnej chorobie skórnej, ktora często nawiedza marynarzy, przebywających długi czas na wodach i których pożywienie składa się wyłącznie z ryb solonych.

„Pewien rodzaj trądu — utrzymuje on — jest objawem choroby, spotykanej w akwatycznem środowisku, jest to fenomen bardzo naturalny, który wskazuje, że w pewnych warunkach twarz ludzka musi się pokryć łuskami".

Zastanawiałem się głęboko, gdyż i ja byłem zdania, że każda choroba większa jest tylko przejściem do nowej ewolucyi człowieka, do stanu doskonalszego, lub też tylko odmiennego. Nigdy jeszcze w ciągu moich badań naukowych i poszukiwań nie doświadczyłem takiego zainteresowania, jak obecnie.

Długo i przenikliwie badałem powierzchowność tego człowieka, tak, że dziś jeszcze najdrobniejsze szczegóły anatomiczne zachowałem wyraźnie w pamięci. Długie jego palce, zakończone krótkimi pazurami o sinej barwie, złączone były płetwą, która zapewne ułatwiała mu pływanie, lecz która nie odbierała jego rękom sprawności zwykłej ludzkim palcom. Oczy brunatne i jasne nie posiadały tępego i martwego wyrazu źrenic ryb, pozbawionych powiek, wyrażały one intelligencyę i rozum, jak te amfibie, o których wspomina Michelet, tak podobne do ludzkich istot, a które tak łatwo przyswoić można i natchnąć czuciem.

Zastanawiałem się, jakim sposobem człowiek ten mógł żyć pod wodą i oddychać, nie posiadając skrzeli, jak ryby.

Podczas gdy poddawałem się tym rozmyślaniom, człowiek wodny podszedł powoli do ściany kryształowej, poza którą byłem ukryty. Zauważyłem wówczas, że trzymał w dłoni pręt z czerwonego metalu, lekko zakrzywiony w pośrodku, i na którym wspierał się, jak na lasce.

Z profilem swoim ostrym, owłosieniem brunatnem i cieńkimi, długimi wąsami czynił wrażenie olbrzymiego kota o ludzkiej twarzy. Od czasu do czasu przystawał i spoglądał w tył, jak gdyby oczekując przybycia kogoś.

Znalazłem natychmiast wyjaśnienie jego zachowania. Zwierzę, podobne równocześnie do foki i wydry, a które jednak posiadało duży spłaszczony dziób, podbiegło do niego, podskakując radośnie. Po chwili już zwierzę to posuwało się pełzając, pilnie upatrując jakąś zdobycz; zrozumiałem, że człowiek morski polował, a jego towarzysz zastępował mu psa do tropienia zwierzyny.

Nagle olbrzymia dzika ryba wyskoczyła z pod krzaka mchu wodnego. Wydra w kilku elastycznych susach podbiegła do niej, ale już zapóźno! Zwierzyna uciekała, posługując się zręcznie szeroko rozwiniętemi skrzelami. Wówczas człowiek rzucił przed siebie pręt metalowy, trzymany w ręce. Bez widocznego wysiłku ze strony myśliwego broń zakreśliła półkole, doszła do upatrzonej ofiary, ugodziła w nią silnie i powróciła posłusznie do ręki swego właściciela.

Ryba, właściwie rodzaj psa morskiego, upadła śmiertelnie ugodzona, wydra dobiła ją kilkoma uderzeniami ostrych pazurów i przyniosła z oznakami wielkiego zadowolenia do stóp morskiego człowieka. Najlepszy pies myśliwski nie byłby się lepiej sprawił. Myśliwy podjął zwierzynę i włożył ją do siatki, przewieszonej przez ramię, która, jak mi się zdawało na pierwszy rzut oka, była spleciona z włókien byssusa, z którego w Sycylii wyrabiają bardzo trwałe tkaniny.

Byłem zdumiony tą sceną życia podwodnego, którą podchwyciłem tak niespodziewanie. Zdałem sobie łatwo sprawę z czynności metalowej broni, która działała analogicznie z „boomerangiem" dzikich plemion australskich, powracającym do ręki, która kierowała.

Człowiek morski postąpił kilka kroków ku mnie, ujrzałem, że sieć jego zawiera już inne zdobycze, ryby i owoce podobne do ananasów, które wydawały drzewa o liliowym liściu i łodygach twardych a kolczastych.

Szedł powoli, kierując się do szyby, z poza której obserwowałem go dokładnie, twarz jego wyrażała podnieconą ciekawość. Wkrótce rozdzielała nas już tylko ściana kryształowa.

Długą chwilę patrzeliśmy na siebie w milczeniu i nagle, z czego nie mogłem sobie zdać sprawy, człowiek morski zaczął objawiać wielki przestrach i wzburzenie. Zapewne nigdy jeszcze nie widział istotę do mnie podobną, całe ciało jego przebiegało nerwowe drżenie i zdawał się nie widzieć, ani rozumieć uśmiechu i przyjaznych ruchów, z jakimi się do niego zwróciłem. Wkońcu odwrócił się szybko i uciekł.

Stałem chwilę na miejscu nieruchomy i zaskoczony, gubiąc się w domysłach, nie wiedząc co dalej zrobić ze sobą. Nie przypuszczałem, aby ten człowiek mógł się mnie przestraszyć i widok ten dotknął mnie nieprzyjemnie. Po chwili postanowiłem zagłębić się dalej w szklaną galeryę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.